5 maja 1866. Nr. 18. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.

Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.

Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.

Redakcja i administracja pod l. $554^{2}/_{4}$ przy ulicy Szerokiej.

Expedycja i miejscowa prenumerat w księgarni J. Milikowskiego.

Dr. Maksymiljana Müllera
profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił Bronisław Trzaskowski.

Odczyt trzeci.

Umiejętność języka na stanowisku empirycznem.

(Dokończenie.)

Dionizjus, aczkolwiek autor pierwszej praktycznej gramatyki, nie był jednak pierwszym nauczycielem języka, co się w Rzymie osiedlił. Za jego czasów mówiono w Rzymie nie równie więcej po grecku, niż np. obecnie w Petersburgu po francusku. Dzieci szlachty uczyły się pierwej po grecku niż po łacinie, a chociaż Kwintylian w dziele o wychowaniu gani to otwarcie, jeżeli się chłopiec tylko po grecku uczy, »jak teraz po największej części w modę weszło,« to jednak zaleca, aby chłopca pierwej po grecku a potem po łacinie uczono. Może się to dziwnem zdaje, ale jest to rzeczą dowiedzioną, że w Italji, odkąd ją tylko znamy, językiem greckim nie mniej mówiono jak łacińskim. Italja zawdzięczała Grecji prawie wszystko, a to nie tylko w późniejszych czasach, kiedy zachodzące oświaty greckiej słońce swe promienie z jutrzenką rzymskiej wielkości zlało, ale już wtedy, gdy pierwsi greccy osadnicy szukając nowej siedziby ku Zachodowi płynęli. Grecy przynieśli Italczykom abecadło, Grecy nauczyli ich czytać i pisać. Imiona wagi, pomiaru liniowego i maszyn w ogólności, imioná bitych pieniędzy i wiele z żeglugą połączonych wyrazów, nawet *nausea* (choroba morska) pochodzą z greckiego i dowodzą, jak dalece Italowie Grekom nawet pierwsze oświaty podwaliny winni. Italja miała niezawodnie swoje narodowe bogi, lecz uległa wkrótce wpływom mitologji greckiej. Niektóre greckie bóstwa zjednoczono ze swojemi; inne przyjęto jako nowe. Tak połączono Saturna, co był pierwotnie italskiem bóstwem jesieni, z religijną czcią greckiego Kronosa, a ponieważ Kronos był synem Urana, wynaleziono nowe bóstwo i zrobiono Saturna synem mitycznego Coelusa. Tak zlał się italski Herkules, bóg trzód, zagród i murów, z greckim Heraklesem. W Kastora i Polluksa, co greckiego pochodzenia byli, uwierzyli chętnie italscy żeglarze i uczynili ich bogami żeglugi; byli to oraz pierwsi greccy bogowie, którym po bitwie nad jeziorem Regilskiem (485) w Rzymie świątynię wystawiono. W roku 431 zbudowano w Rzymie drugą podobną świątynię dla Apolina, do którego delfickiej wyroczni od czasów osiedlenia się greckich wychodźców na italskiej ziemi bardzo często się Italowie udawali. Wyroki sławnej kumejskiej Sybilli były po grecku pisane i dozwolono kapłanom *(duo viri sacris faciundis)* utrzymywać dwóch niewolników, którzy te wyroki tłumaczyć mieli.

Gdy Rzymianie w roku 454 przed Chr. statut praw ułożyć zamyślili, wysłali przedewszystkiem komisję do Grecji, która z solońskich praw w Atenach i z praw innych greckich miast sprawę dać miała. Ze wzrostem politycznego znaczenia i potęgi Rzymu rosło także zamiłowanie greckich obyczajów, sztuki, języka i literatury i przyswajano je chętnie. Już przed rozpoczęciem punickich wojen posiadało wielu rzymskich mężów stanu język grecki. Tak zwani l i t e r a t o r e s uczyli żaków nietylko rzymskich liter ale równocześnie i greckich. Nauczycieli języka greckiego w Rzymie nazywano wtedy g r a m m a t i c i, a byli to po największej części niewolnicy albo wyzwoleńcy greccy.

Między młodzieżą z czasów Katona znaczyło umieć po grecku tyle, co być dobrze i salonowo wychowanym. Czytali oni greckie książki, rozmawiali po grecku i pisali nawet po grecku. Tyberjus Grachus, co był w roku 177 konsulem, miał w Rodzie mowę grecką, którą później wydał. Za uprzejmość, jaką Grecy Flaminjusowi łacińską przemową okazali, odpłacił się im tem, że greckie wiersze na cześć ich bogów pisał. Pierwsze dzieje rzymskie pisał w Rzymie Fabjus Piktor około r. 200 przed Chr. po grecku i zapewne tylko dla opozycji przeciw temu dziełu i przeciw pismom L. Alimenta i P. Scypjona pisał Kato swoją historję rzymską po łacinie. Za przykładem klas wyższych szły niższe z wielkim zapałem. Najlepszym tego dowodem są komedje Plauta; albowiem w niektórych jego charakterach występuje jawnie chęć mięszania greckich słów do łacińskiej mowy; w podobny sposób narazili się niemieccy pisarze w pierwszej przeszłego wieku połowie na śmiech przymieszywaniem francuskich słów i wyrażeń. To samo spotkało wielu polskich pisarzy z epoki upadku literatury za wtrącanie słów łacińskich. W tej spuściźnie po Grekach leżał zarazem zysk i strata. Lecz cóżby się było z Rzymu stało, gdyby nie jego greccy mistrzowie? Nawet najstarsi pisarze Rzymu, założyciele jego piśmiennictwa, byli Grecy, prywatni nauczyciele, ludzie, co z tłumaczenia szkolnych książek i komedyj żyli. Liwjus Andronikus, którego jako jeńca z Tarentu do Rzymu posłano (272 przed Chr.) utrzymywał się tamże z nauki greckiego języka. Jego tłumaczenie Odyssei na łacińskie wiersze, co początek literatury rzymskiej stanowi, zawdzięcza swe powstanie niezawodnie jego prywatnej nauce, do której mu służyło. Na jego styl jakkolwiek niezgrabny i twardy spoglądali powstający pisarze stolicy z zazdrością, jakby na wzór doskonałości. Newijus i Plautus byli jego współcześni albo najbliżsi następcy. Wszystkie komedje Plauta są to tłumaczenia greckich oryginałów albo przynajmniej przerobienia dla rzymskiej publiczności; nawet przeniesienia sceny z Grecji do Rzymu nie pozwolono Plautowi. Publiczność rzymska chciała patrzeć na greckie życie, greckie obyczajów zepsucie; byłaby niezawodnie ukamienowała poetę, coby się rzymskiego szlachcica lub matronę rzymską na scenę wprowadzić był odważył. I tragiedje greckie tłumaczono na łacińskie. Ennijus, który mało co później po Newjusie i Plaucie żył (239 — 169 przed Chr.) wziął się pierwszy do tłumaczenia Eurypidesa. Był on podobnie jak Andronikus, italskim Grekiem, i osiedlił się w Rzymie jako nauczyciel języka i tłumacz z greckiego. Zostawał on pod szczególną protekcją partji liberalnej, P. Scypiona, T. Flaminjusa i M. Fulwjusa z przydomkiem Nobilior i otrzymał obywatelstwo rzymskie. Ale Ennijus był więcej niż poetą, więcej niż nauczycielem języka. Nazwano go neologiem i rzeczywiście zasłużył on na to imię aż do pewnego punktu. On przełożył dwa przeciw religji greckiej a nawet przeciw istności bogów greckich wymierzone dzieła na język łaciński. Jednem z tych dzieł była filozofja Epicharma (470 przed Chr. w Megarze), który uczył, że Dzeus niczem innem nie jest jak tylko powietrzem, a inni bogowie także tylko imionami rozmaitych sił natury; drugiem było dzieło Euhemera z Messeny (300 przed Chr.), który w romantycznej formie dowieść usiłował, że bogowie greccy nigdy nie istnieli, i że ci, w których jako w bogów wierzono, tylko ludźmi byli. Tłuma-

czenie obu tych dzieł miało szczególny zamiar i jakkolwiek płytkie i niedorzeczne, podkopywały one jeszcze płytsze mitologji rzymskiej systemy i rozkładało je łatwo. Grecki znaczyło wkrótce tyle co niewierny, i nie wiem, czyby Ennijus uszedł był karze, jaka Newjusa za jego polityczne satyry spotkała, gdyby go przyjaźń i opieka najznakomitszych mężów stanu nie była ochroniły. Nawet Kato, ów najzaciętszy greckiej filozofji i retoryki wróg, był przyjacielem niebezpiecznego Ennijusa, i tak silnie wzrastał wpływ greczyzny w Rzymie, że sam Kato wziął się na starość do nauki języka greckiego, aby módz swego syna z owemi piśmiennictwa greckiego dziełami obznajmić, które jeżeli nie za użyteczne, to przynajmniej za nieszkodliwe uważał. Żartują sobie zwykle z Katona dla jego zrzędnej niechęci i opozycji przeciw wszystkiemu, co było greckie; ale skargi jego mieściły w sobie wiele prawdy. Słyszeliśmy wiele o młodych Bengalach, co Birona i Woltera czytają, w bilard grają, w powozach jeżdżą, kapłanów swoich wyśmiewają, względem misjonarzy łaskawców rolę grają, ale sami w nic nie wierzą. Opisanie młodych próżniaków rzymskich, jakie nam Kato podaje, przypomina nam żywo tych młodych Hindów.

Gdy Rzym pochodnię nauki z konającej dłoni Hellady wziął, już nie płonęła ta pochodnia czystem, jasnem światłem. Po Platonie i Arystotelesie nastąpił był Chryzyppos i Karneades; Eurypides i Menander zajęli byli miejsce Eschila i Sofoklesa. Stawszy się stróżem i zachowawcą prometejskiej, w Grecji najprzód zapalonej iskry, co potem nietylko Italję ale wszystek świat oświecić miała, stracił Rzym wiele z swej wrodzonej i ojczystej *virtus,* której swą wielkość zawdzięczał. Stara rzymska mierność i surowość obyczajów, prostota i pobożność rzymska, duch obywatelski i patrjotyzm Rzymu uległy i ustąpiły greckiej rozpuście i płochości, greckim intrygom i samolubstwu, występności i niewierze. Nic nie pomogły ograniczające prawa i wyklęcia a ideje greckie potępione przez Katona i jego przyjaciół nabywały tem więcej powabu. Każde następne pokolenie przejmowało się coraz więcej grecką istotą. W roku 131 czytamy o konsulu (Publjus Krassus), co jak drugi Mezzofanti w rozmaitych narzeczach greckich wysłowić się umiał. Sulla pozwolił obcym posłom mówić w senacie po grecku. Penecjus, filozof stoicki, żył w domu Scypijonów, co był długi czas miejscem zgromadzenia wszystkich literackich znakomitości Rzymu. Tu witano mile greckiego historyka, Polibjosa, filozofa Kleitomacha, satyryka Lucyljusa, afrykańskiego poetę Terencjusa (196 — 159 przed Chr.) i improwizatora Archijasa (102 przed Chr.) W tem dobranem kole czytano i osądzano arcydzieła literatury greckiej, roztrząsano najważniejsze zagadnienia filozofji greckiej i najważniejsze ludzkości kwestje były tam przedmiotem głębokich, pełnych myśli rozpraw. Chociaż z koła tego żaden oryginalny poetyczny gienjusz nie wyszedł, to jednak wywierało ono na rozwój literatury rzymskiej niezmierny wpływ. Było ono jakby trybunałem dobrego smaku, a łacina klasyczna zawdzięcza niezawodnie znaczną część swej poprawności, prostoty i męskości temu kosmopolitycznemu klubowi, co pod gościnną Scypjonów strzechą posiedzenia swe odbywał.

I religijne rzymskiego społeczeństwa życie było pod koniec punickich wojen więcej greckiem niż rzymskiem. Wszyscy, co się w religijne kwestje głębiej zatapiali, byli zwolennikami albo Stoików albo Epikura, albo wyznawcami zasad nowszej akademji t. j. nie przypuszczali możności jakiegokolwiek nieskończonej istoty poznania i kładli mniemanie na miejsce prawdy. Chociaż zasady Epikura i nowszej akademji zawsze za niebezpieczne i kacerskie uważano, to przecież cierpiano stoicką filozofję i zawarto pewien układ między filozofją a religją. Była tam nietylko religja państwa ale i filozofja państwa. Jakkolwiek w roku 161 udało się kapłaństwu rzymskiemu wypędzić wszystkich retorów i filozofów z Rzymu, to jednak uznało ono potrzebę kompromisu.

Przyznano całkiem otwarcie, że u oświeceńszych klas ludu filozofja miejsce religji zająć powinna, że jednakowo wiara w cudy i wyrocznie do utrzymania gminu w karbach porządku niezbędną jest. Sam Kato, ów przewódca prawowiernego, narodowego i konserwatywnego stronnictwa, wyraził swoje zadziwienie, dla czego *haruspex* rzymski spotkawszy kolegę nie parsknie od śmiechu. Męże jak Scypjo, Emiljanus, Lelijus wyznawali wiarę w bóstwa gminne, ale Jowisza uważali za duszę świata, a posągi bogów za czyste dzieła sztuki. Ich bogowie nie mieli, jak się lud żalił, ani ciała, ani członków, ani żądz. Tymczasem trwał pokój między Stoikami a prawowiernem stronnictwem. Obie strony wyznawały wiarę w tych samych bogów, wymawiały sobie atoli wolność wierzenia w nich po swojemu.

Zatrzymałem się nieco dłużej przy zmiennych prądach w duchowej atmosferze Rzymu pod koniec wojen punickich i starałem się pokazać, jak dalece greckiemi ideami przepełnioną była. Spodziewam się tym sposobem wytłumaczyć tę na pozór niewyjaśnioną okoliczność, dla czego się w Rzymie gramatyki greckiej z takim zapałem uczono, dla czego się nauce tej nie tylko uczeni i filozofowie ale i najznakomitsi mężowie stanu oddawali. Dla naszego literackiego smaku mają dyskusje nad imionami i czasownikami, nad rodzajem i liczbami, nad deklinacjami i konjugacjami zawsze coś nudnego i męczącego, i dla tego nie możemy pojąć, jak gramatyka — czysta, prosta gramatyka — mogła obudzić w Rzymie tak powszechne zajęcie i stać się przedmiotem rozmów w wykształconych kołach salonowego świata. Gdy Krates z Pergamu, jeden z pierwszych owego czasu gramatykarzy, w poselstwie od króla Attala do Rzymu przybył, doznał u wszystkich wykształconych mężów stanu najzaszczytniejszego przyjęcia. Przechadzając się raz po palatyńskim pagórku uwiąznął nogą w kracie kanału, upadł i złamał nogę. Zmuszony przez to do dłuższego niż zamierzył w Rzymie pobytu, dał się do kilku odczytów czyli *akroaseis* o gramatyce nakłonić, i od tego czasu datuje się, jak mówi Sweton, nauka gramatyki w Rzymie. Działo się to w roku 159 przed Chr. między drugą a trzecią wojną punicką, zaraz po śmierci Ennijusa, a dwa lata po osławionem greckich retorów i filozofów wygnaniu. Cztery lata pózniej nie dozwolił Kato Herneadesowi, co także w poselstwie do Rzymu był przyjechał, podobnych odczytów. Po odczytach Kratesa stały się gramatyczne i filologiczne studja w Rzymie rzeczą nader popularną. Lucjus Stylo czytał o gramatyce łacińskiej jak Krates o greckiej. Między uczniami jego byli Warro, Lucyljus, Cycero. Warro pisał 24 ksiąg o łacińskim języku, z których cztery Cyceronowi poświęcił. Cycerona zaś przytaczają jako powagę w spornych gramatycznych kwestjach chociaż Cycero, o ile wiemy, nie pisał żadnego specjalnego o gramatyce dzieła. Lucyljus poświęcił dziewiątą księgę satyr poprawie pisowni. Lecz nic tak nie dowodzi powszechnego i gorliwego zajęcia, jakie gramatyczne studja w najwyższych społeczeństwa rzymskiego sferach budziły, jak Cezara dzieło o łacińskiej gramatyce. Pisał on je podczas gallijskich wojen i poświęcił Cyceronowi, a książe wymowy rzymskiej mógł być dumnym z tej zaszczytnej grzeczności, jaką mu ten wielki wojownik i polityk przez to okazał. Nie znamy większej części tych dzieł i tylko z przypadkowych cytatów o nich poniekąd sądzić możem. I tak dowiadujemy się z ułamka Cezarowego dzieła „*de analogia*“ że on był wynalazcą nazwy *ablativus.* Nazwa ta nie przychodzi przedtem nigdzie, i nic mogła być, jak nazwy innych przypadków, z greckiego wziętą, bo gramatyka grecka nie ma ablatywu. Gdy pomyślimy, z jaką energją Cezar przeciw gallijskim i germańskim barbarzyńcom wojował, jak bacznem okiem śledził z daleka każdy polityczny ruch w Rzymie, jak każdej chwili był gotów ująć berło świata, a jednak jak w tym samym czasie z greckim sekretarzem swoim, Dydymem, oddawał się nieustannie gramatycznym i filologicznym studjom, to zaiste w całkiem nowem świetle ukaże się przed zdumionym duchem naszym i istota tego nadzwyczajnego męża i czas, w którym żył. Po zwycięztwach i tryumfach nad wszystkiemi nieprzyjaciołmi było założenie greckiej i łacińskiej biblioteki w Rzymie jednym z najulubieńszych Cezara planów, a kierownictwo ich oddał Warronowi, największemu pod ów czas uczonemu, chociaż tenże po stronie Pompeja przeciw niemu był walczył.

Doszliśmy znowu do czasu, kiedy jak wyżej powiedziano, Dionizjus Traks pierwszą elementarną greckiego języka gramatykę w Rzymie wydał. Tym sposobem dostała się empiryczna gramatyka do Rzymu, grecką terminologję gramatyczną przeło-

żono na język łaciński, i w tej nowej łacińskiej szacie podróżowała ona blisko 2000 lat po całym ucywilizowanym świecie. Nawet w Indjach, gdzie w gramatycznych Brahmanów szkołach całkiem inna i w wielu względach doskonalsza niż aleksandryjska i rzymska powstała była terminologja, można usłyszeć teraz wyrazy *casus*, *genus*, *activum*, *passivum*, jak je europejscy nauczyciele młodym Hindusom tłumaczą. Dziwne zaiste są nieraz losy słów, a kiedym niedawno sprawozdania z popisów szkół indyjskich wziął do ręki, zdawało mi się, że w takich zdaniach jak np. »Napisz gienityw rzeczownika *siva*« czytam całe tomy historji. Jak dostało się takie słowo jak *genitivus* do Indyj? Przyszło ono z Anglji, do Anglji przybyło z Rzymu, do Rzymu z Aleksandrji, do Aleksandrji z Aten. W Atenach miał wyraz *casus* albo *ptosis* filozoficzne znaczenie; łacińskie *casus* jest tylko literalnem tłumaczeniem greckiego *ptosis*; pierwotne znaczenie upadku zaginęło, a słowo zeszło na czysto techniczny wyraz. W Atenach odpowiadała filozofja języka filozofji ducha. Terminologja loiki formalnej była ta sama co gramatyki formalnej. Stoicy dzielili loikę na dwie części, na retorykę i djalektykę; przedmiotem pierwszej był znak czyli język, przedmiotem drugiej rzecz oznaczona, czyli świat. W ich filozoficznym języku oznacza *ptosis*, co Rzymianie na *casus* przetłumaczyli, rzeczywiście przypadek t. j. wzgląd czyli zawisłość jednej idei od drugiej, poleganie jednego słowa na drugiem, czyli rząd (rectio). Niechaj to będzie odpowiedzią dla tych, co w gramatyce polskiej wyraz przypadek na spadek zamienić chcieli. Długo i namiętnie spierano się o to, czy nazwa *ptosis* czyli przypadek do nominatywu zastosować da się, a każdy prawdziwy stoik byłby się rozśmiał z wyrazu *casus rectus*, gdyż według jego zdania, podmiot czyli nominatyw nie może przez co inne upaść, czyli na innem pojęciu polegać, lecz stoi prosto i mocno, tak że inne słowa w zdaniu o niego się opierają i od niego zawisły. Któż dzisiaj pomni na to wszystko, słysząc albo wymawiając słowo *casus*?

Lecz jak mają żaki hinduskie w rządowych szkołach indyjskich odgadnąć znaczenie gienitywu? Do tego wybrano jeszcze łacińskie słowo mylnie, albowiem greckie *genikē* nie mogło nigdy tyle znaczyć co *genitivus*. Gdyby przypadek ten miał być przypadkiem pochodzenia, urodzenia, toby się po grecku *genētikē* a nie *genikē* był nazywał. Oprócz tego nie wyraża *genitivus* wcale stosunku syna do ojca. Albowiem chociaż możemy powiedzieć syn ojca, to możemy równie powiedzieć: ojciec syna. *Genikē* ma w greckiem daleko obszerniejsze, daleko filozoficzniejsze znaczenie. Oznaczało ono przypadek rodzajowy (*casus generalis*), albo raczej przypadek wyrażający rodzaj, gatunek. W tem leży właściwa siła i znaczenie gienitywu. Jeżeli poeta chmury żeglarzami powietrza nazywa, to oznacza »powietrza« rodzaj, do którego te żeglarze należą; są to żeglarze powietrzni. W połączeniach takich, jak syn ojca albo ojciec syna wyrażają gienitywy to samo. Orzekają one coś o synie albo o ojcu, a gdybyśmy między synami ojca a synami matki różnicę uczynić chcieli, toby gienitywy rodzaj czyli klasę wyrażały, do której synowie należą. Służyłyby one do tego samego celu, co przymiotniki ojców, matczyn. Można tego dowieść etymologicznie, że końcówki gienitywu po największej części z tych samych przyrostków powstały, którymi się z rzeczowników przymiotniki tworzą.

Nie widzę potrzeby rozwijać dalej po za Rzym losy empirycznego studjum czyli gramatycznej analizy języka. Wraz z Dionizjusem Trakiem i przez niego stanęło już zupełnie całe rusztowanie gramatyki. Późniejsi pisarze poprawiali je i udoskonalali, ale nowego i oryginalnego nic nie dodali. Możemy iść za prądem gramatycznej umiejętności od Djonizjusa Traka aż do naszych czasów prawie bez żadnej przerwy; pisarze greccy i łacińscy stanowią przez całe te wieki łańcuch nieprzerwany. Znajdziemy tam M. Werrjusa Flakka, nauczyciela wnuków Augusta; w pierwszym wieku zobaczymy Kwintyljana, w drugim Skaura, Apollonjusa Dyskola i syna jego Herodjana, w czwartym Proba i Donata. Po przeniesieniu stolicy z Rzymu do Konstantynopola przez cesarza Konstantego znalazła umiejętność gramatyczna nową ojczyznę w tameczne nowej akademji. Dwudziestu greckich i łacińskich gramatyków zasiadło na katedrach carogrodzkich. Za Justynjana w wieku 6. dodało imię Pryscjana studjom gramatycznym nowego blasku, a dzieło jego pozostało w wiekach średnich i prawie aż po nasze czasy znakomitą powagą. Nas samych uczono gramatyki według tego planu, którego się Dionizjus w Rzymie, Pryscjanus w Konstantynopolu, Alkuin w Yorku trzymał, i jakkolwiek o zmianach i poprawach, ktore w naszym wychowawczym systemie zaszły, sądzimy, to jednak używane po szkołach naszych gramatyki greckie, a jeszcze więcej łacińskie opierają się w głównych punktach zawsze jeszcze na pierwszej empirycznej analizie języka, którą filozofowie Ateńscy przygotowali, uczeni Aleksandryjscy zastosowali, a greccy nauczyciele Rzymu do praktycznych nauki obcego języka celów przenieśli.

KOLENDA

na korzyść braci tułaczy kształcących się we Francji

przez Karola Balińskiego.

(Ciąg dalszy.)

A tam — cóż to? co za gwary?
Ha! to gody, ślubne gody,
Do kościoła ciągną pary,
Ślubny orszak panny młodej.
Kto tam płacze na złe czasy!
Patrz — to perły i atłasy!
Co tu szumu! co tu trzasku!
Co tu strojów! co tu blasku!
Co tu pereł — djamentów,
Szczerozłotych cacek, sprzętów!
Rzekłbyś biedny polski człeku,
Że w Zygmunta żyjesz wieku,
Że — ot, wczoraj — pan Żółkiewski
Wrócił z Kremla z husarzami,
I z rękawa na kraj cały
Sypnął carów skarb moskiewski:
Złote berła z koronami
Połamane na kawały.
Rzekłbyś biedny polski człeku,
Żeś przespał półtrzecia wieku,
Że co było, to nie było —
Że się tylko strasznie śniło
O kajdanach pod mogiłą.
Że niewola to sen, mara,
Że zwycięzka żyje wiara.
Rzekłbyś, że już nie ma przecie
Ani jednej łzy na świecie!

Oj! dziewczyno! oj kalino!
Czyś ty Niemka lub Moskiewka?
Wszak tyś szczera polska dziewka!
Słuchaj! bracia z głodu giną!
Zrzuć co prędzej perły, stroje,
Daj tu złote cacka twoje;
Każde cacko siłę wróci,
I zziębniałą krew ocuci,
I zwątpienia łzę osuszy,
I przywoła moc do duszy
I uchroni od rozpaczy;
Bo przypomni, że rodzina
Nie wyrzekła się tułaczy,
Że wciąż kocha i wspomina.

Och! nie perłą, nie rubinem,
Och! nie złotem błyszczeć tobie!
Córo Polski! tyś w żałobie,
Tyś sierota! matka w grobie!
Tobie błyszczeć tylko czynem!

*

Tobie świecić, o sieroto!
Tylko sercem! tylko cnotą!

Gdy staniesz przed oblubieńcem
Strojna tylko kwiatów wieńcem,
Zdobna tylko temi łzami
Co twoja ręka osuszy;
Świetna tylko promieniami
Bijącymi z głębi duszy;
Jeśli wtedy sam nie przyzna,
Żeś mu milsza i piękniejsza
I bogatsza i świetniejsza,
Niż dziś złotem ozłocona:
To odepchnij go od łona —
Bo to nędznik nie mężczyzna!
To nie Polak — ten niecnota,
On nie kocha nic prócz złota!

Szczerej prawdy rzekłem słowa,
Teraz pomyśl — i bądź zdrowa!

(D. c. n)

Wyjątek z życia wygnańca

podług opowiadania spisał

Feliks Ko........

(Ciąg dalszy.)

Tak więc, długo zastanawiałem się nad przeszłością i obecnem położeniem i już zaczynałem rozpaczać, gdy mi się przypomniały owe sławne wyrazy Soulie'go: *Nous sommes des lâches, nous autres hommes, lorsque nous parlons de malheurs! Est-ce que dans notre époque la vie, n'est pas aussi aisée à celui, qui la commence avec rien, qu'à celui, qui la commence avec la fortune?...*

Święta prawda! a ja przecie mam 15 lui. i 30 fl. w zapasie.

Zwykle w takich sytuacjach jak prędko traci się nadzieję, równie ją się prędko odzyskuje.

Powtórzyłem sobie słowa Napoleona: naprzód! moja gwiazda jeszcze nie zaszła i...

Plan był gotowy!

Nieosobliwie mówiąc po niemiecku, czyli raczej nie umiejąc nic prawie, czyżbym mógł znaleźć kawałek chleba w szczęśliwej Augustyna ojczyźnie?...

Do Francji więc — do Francji — gdzie będę mógł bez wstrętu patrzeć na ludzkie twarze; gdzie uszów moich nie będzie rozdzierać dźwięk wstrętnej nam mowy — a w oczy wpadać praktycznie zastosowane to ohydne i poniżające godność ludzi przysłowie: *ubi bene ibi patria.*

Mam ręce zdrowe do pracy!

Nazajutrz tak zwany *Postzug* wiózł mnie do Strasburga, gdzie zamierzyłem zatrzymać się dzień jeden, głównie dla obejrzenia nagrodku Maurycego Saskiego — gdyż podczas poprzedniej mojej tam bytności zupełnie o tem zapomniałem.

Z Monachium do Stutgartu podróż moja prawdziwie zabawną była, gdyż jechałem w jednym wagonowym podziale z rodziną polską z Kongresówki.

Nie opisuję ci jej szczegółowo, gdyż to był aż nadto wszystkim znany typ szlachetki jadącego z familją puścić parę tysięcy rubli w Paryżu!

Ojciec, matka, dwie córki, mazgajowaty syn podrostek i stara z psem kulawym i trzema różańcami ciotka, za każdem mocniejszem wstrząśnieniem wagonu mówiąca litanję, już nie pamiętam do jakiego świętego.

W tem towarzystwie podróż moja była prawdziwie zabawną, powiadam, gdyż zacna rodzina uherbowanych pasożytów, sądząc, iż ją nikt nie rozumie, prawdziwe wygadywała herezje — a panienki (choć to niby sielskie niewinne istotki) robiły półgłosem między sobą takie uwagi — którychby może i pan Karol K. wstydził się umieścić w swych kuchennych arcydziełach.

I cóż dziwnego?... Czyż zgniły i tyloma przestępstwy naznaczony pień szlachecki może urodzić proste, dobre i zdrowe latorośle?...

W Stutgarcie przesiadłem się do innego wagonu i dostałem za towarzysza jakiegoś małego, o żywych ujmujących rysach staruszka, ale tak ruchliwego, że sekundy nie usiedział na miejscu.

Po zwykłych, w takim razie oklepanych już frazesach: co za piękny dzień — jakie ładne okolice i t. p. mój towarzysz zagadnął po francuzku:

— Sądzę, że pan jesteś południowej Francji mieszkańcem?

— Dla czego?

— Gdyż pan akcentuje lekko w tamtejszy sposób niektóre wyrazy.

Coś mi szepnęło, aby mu narodowość moją powiedzieć.

— Nie! panie — ja jestem rodem z Warszawy.

— Polak?... zapewne proskrybowany?... a może były więzień Moskwy lub Austrji? — i pół tuzinem podobnych zarzucił mnie pytań.

Nim zdołałem na wszystkie odpowiedzieć, podniósł się ze swego miejsca i podał mi rękę, mówiąc:

— Winszuję! winszuję!... mówisz pan jak rodowity Francuz! — potem dodał — przepraszam... może ja pana obrażam moją porywczością, lecz to już taka natura moja... zresztą — *pour dire franchement — j' admire votre chevaleresque nation!* — zakończył.

Potem nastąpiła wymiana nazwisk i powoli, powoli, opisałem mu całe moje położenie obecne, całą nadzieję na przyszłość i szczerą chęć zajęcia się choćby najcięższą pracą, byle nie być nikomu nic winnym.

Podobała mu się, jak sądzę, moja otwartość, gdyż kilka prawdziwie przyjacielskich udzieliwszy mi rad i uwag, zawołał:

— Pan nie powinieneś jechać do Paryża!

— Dla czego?

— Cóż tam pana czeka?... po rozbiegnięciu się tych piętnastu ludwików nędza albo samobójstwo chyba!... a za młodyś pan i na jedno i na drugie. W Paryżu jest taka rywalizacja we wszystkich fabrykach i zakładach rękodzielniczych — taki brak zajęcia przy olbrzymim napływie rzemieślników, że nie dasz pan sobie nigdy rady, a tu głównie potrzeba, abyś na początek choć na życie mógł zapracować!

Uścisnąłem dłoń szlachetnego starca, wynurzając podziękę za dobre uwagi.

— Zobaczemy! zobaczemy! — odparł uśmiechając się nieznacznie.

Po chwili namysłu zawołał:

— Znasz się pan na broni?

— Umiem wybornie strzelać z fuzji i pistoletu, oraz bić się na szpady i pałasze.

Rozśmiał się poczciwiec na moją odpowiedź.

— Nie o to pytałem! lecz czy się pan znasz na puszkarstwie?

— Nic a nic!

— No — ale przecie może pilnik panu nie obcy?

— Dawniej, w szkołach, robiłem nim czasem dla zabawki.

— Ano, to brawo! to wygrana! — mówił żwawo, zacierając ręce. — Jeżeli pan sobie życzysz, to zaraz możesz mieć umieszczenie w Nancy u mego przyjaciela fabrykanta broni! — A teraz czem innem się zajmijmy.

— Dokąd pan masz bilet?...

— Do Strasburga, gdzie się dzień jeden muszę zatrzymać...

— Dobrze! — zawołał. — Więc pojutrze czekam pana na koleji w szklannej sali, gdzie bufet centralny.

Nie będę cię nudził opisywaniem całej rozmowy naszej, gdyż w kilku chwilach (zważywszy dziwną gorącość i jakby narwanie starca) na tysiąc zwracała się przedmiotów, lecz *stante pede* przystąpię do rzeczy!

Mój chlebodawca nazywał się Alfred Senneville, kupiec win na wielką skalę. Nie miał sklepu, lecz tylko duży dom i skład w Nancy, z których rozsyłał po całych prawie Niemczech swój towar.

W cenie 15 fr. miesięcznie ofiarował mi prześliczny pokoik umeblowany na 3cim piętrze u siebie, i wymógł na mnie, że zamiast opłaty dawać będę co drugi dzień lekcje muzyki jego córce.

Pojmujesz, że na wszystko przystałem.

Trzeciego dnia, wysiadłszy z pociągu w Nancy udałem się do restauracji, gdzie już pan Senneville oczekiwał na mnie kręcąc się jak fryga mimo swych sześćdziesięciu latek.

Jak tylko mnie spostrzegł i posługacza niosącego rzeczy, krzyknął zaraz.

— Rzeczy pańskie mój odźwierny zaniesie, a pan dalej marsz na kolację do moich kobiet.

— ›A więc jest i płeć piękna‹, pomyślałem.

— Pan o ile sądzę mówił mi wczoraj, że jest wdowcem? zapytałem.

— Rzeczywiście, panie! rzeczywiście! ale mam w domu siostrę z dwojgiem dzieci, która wraz z moją Eliną wszystkiem u mnie rządzi i kieruje. Poczciwa to, zacna kobieta! staraj się pan jej podobać, a wszystko pójdzie dobrze!

Wysiadłem z fiakra przed dużym, ładnej struktury domem przy ulicy Mitrière, i udaliśmy się na pierwsze piętro.

Za otwarciem drzwi pokoju, obraz, który ujrzałem, rozbudził w mej duszy cały szereg nieodżałowanych wspomnień — całą przeszłość uroczą — która niestety... może już nigdy dla wygnańca nie wróci! Znalazłem się bowiem w obec francuzkiej rodziny przy wspólnem zgromadzonej ognisku... O, Boże mój! Boże! i ja kiedyś miałem rodzinę, i ja kiedyś byłem otoczony tymi, co mnie kochali, których kochałem!

Słuchaj Feliksie! może zdrożne są myśli moje, może ty uznasz nieszlachetnem to, co ci powiem, lecz ja — gdy patrzę na taki obraz cichego domowego pożycia, gdy wzrok mój spotyka te uśmiechy wesela i szczęścia — te uściśnienia gorące swojskich dłoni, te bicia serc nierozdzielonych piorunem przeznaczenia... Feliksie, ja ludzi takich nienawidzę!

Mnie rozpacz bez granic porywa! serce kraje się na widok tego szczęścia, które mi jest zakazanem!

Nawet ostatni nędzarz, kładąc się do snu na zimnym bruku miasta, dumnie i z rozkoszą wyrzec może: ja składam głowę na łono ojczyzny mojej — ja zasypiam tonąc wzrokiem w gwiaździstem niebie, co świeci nad moją ziemicą!

A my? a my?...

Jednak ci ludzie nie wiedzą, jaki skarb posiadają!

. . . .

Przy okrągłym stoliku, na którym płonęła żywem światłem mleczna lampa, cztery osób siedziało różnemi zajętych robotkami.

Na sofie, w głębi, siostra pana Senneville, pięćdziesięcioletnia kobieta, poważna trochę i surowa może za bardzo, lecz z pewnym wyrazem łagodności i słodyczy w oczach, która się szczególniej w uśmiechu widzieć dawała. Obok niej z jednej strony czternastoletnia dziewczynka, ładniuchne stworzenie, robiła siatkę — z drugiej chłopczyk dziesięcioletni uczył się czytać z ilustrowanej książeczki. Naprzeciw nich siedziała młoda, ośmnastoletnia panienka.

Przyznam ci się, że nawet w kraju naszym (tyle słynnym z urody kobiet) nie zdarzyło mi się napotkać równie pięknej i pociągającej!

Wysokie, myślące czoło dziewicy otaczały bujne sploty blond włosów, ujęte z tyłu szafirową przepaską i wolno puszczone na ramiona. Twarz pociągła, greckiego zakroju, obrazowo pięknaj proporcjonalna, była może za nadto bladą, ale uderzał z nie urok i wdzięk nieopisany. Z pod ciemnych rzęsów patrzały smętno duże, błękitne oczy, jakby łzą przymglone, a tak pełne powabu — tak przejmujące swym stłumionym blaskiem, żem chwilę stanął nieruchomy i milczący — jakby pod wpływem snu jakiegoś, lękając się tchnieniem nawet spłoszyć cudowną, eteryczną postać dziewczęcia!

Żadne pióro opisać jej nie zdoła!! Patrz Feliksie na portret jej — a sam przyznasz, że to niepodobieństwo!

Za naszem przybyciem ogólny ruch zrobił się w saloniku; następnie po prezentacji zajęliśmy krzesła i ogólna rozpoczęła się rozmowa.

Ja ani na chwilę nie mogłem oderwać oczu od pięknej twarzy Eliny.

Powoli rozmowa dotykając różnych przedmiotów, skierowała się na moją ojczyznę.

Siostra pana Senneville prosiła mnie, abym opisał w krótkości zaszłe wypadki i wszystko, co się do naszej ojczyzny ściąga.

Głucha cisza zaległa szczupłe grono, gdym głos podniósł i opowiadać zaczął.

Nie potrzebuję ci mówić, iż na wspomnienie naszej męki— sławy — łez i boleści — krew żywiej popłynęła w żyłach i usta mimo woli dobierały pełnych mocy i energji wyrazów.

Słuchano z świętą uwagą krwawych dziejów mego narodu.

Gdy zaś przedstawiłem im setne krzyże — szubienice — z uśmiechem zachwytu ginące na nich bohatery — lud w żałobie z załamanemi dłońmi, wołający z boleścią rozdartej piersi łaski i miłosierdzia stwórcy — gdym odmalował pola nasze, cmentarze, strojne tysiącami zielonych mogił i czarnych strażniczych krzyżów... jeden okrzyk boleści wyrwał się z szlachetnych piersi Francuzów i widziałem jakby rodzinne grono tam nad Wisłą — pełne smętnego uśmiechu rezygnacji.

Elina z oczami pełnemi łez powstała i wyszła z pokoju.

Powoli wzruszenie mijać zaczęło.

Pan Senneville prosił mnie, abym zagrał moje ojczyste melodje.

Nie wiem, czy rzewna początkowa nuta ›Kwiatów polskich E. Bacha‹ to sprawiła, lecz przez wpółotwarte drzwi do drugiego pokoju wprost pianina spostrzegłem smukłą postać Eliny, opartą na konsoli i wzrok jej przejmujący z dziwną na mnie oparty sympatją.

Podczas całej muzyki nie zmieniła postawy i czułem, jak nieznana mi dotąd siła zapalała w piersiach pożar... czułem, że od chwili, gdym dojrzał łzy w jej modrych oczach — kochałem szalenie — bez granic!

Śmiać się może będziesz Feliksie — powiesz, że niepodobnem jest tak od razu przywiązać się do kobiety, a jednak — jam się przywiązał do niej od razu, choć czułem, że moją być nigdy nie może!

I nie omyliło mnie przeczucie! (C. d. n.)

Sprawa polska na kongresie wiedeńskim

przez

Bronisława Zamorskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Po uchwale trzech wzmiankowanych punktów jak już nadmieniliśmy, mocarstwa europejskie wcale się nie mięszały do układów, jakie się toczyły między mocarstwami: Austrją, Prusami i Moskwą, i sprawę Polską uważać już wówczas należało jako zupełnie załatwioną. Nie rozumiem więc, dla czego załatwienie niewłaściwe i że tak rzec można, szarlatańskie sprawy polskiej

na kongresie wiedeńskim wylądowaniu Napoleona I. w Cannes 1. marca 1815 przypisują. Napoleon dopiero 25 lutego wyruszył z Elby, a o wylądowaniu jego w Cannes dowiedziano się w Wiedniu dopiero 5 marca, wówczas gdy już sprawa polska oddana była jako zadecydowana do wykonania mocarstwom rozbiorczym. Fałszywie więc pisze dyplomata francuski Alexis de Noailles, że kwestja polska z taką zaciętością była rozbierana, że tylko wypadkom miesiąca marca 1815 r. t. j. powrotowi Napoleona do Francji przypisać można, że przecięty został spór, dla którego podpisano już zaczepno odporne traktaty, dla którego i kongres i przyjacielskie mocarstw stosunki bliskie już były zerwania, dla którego nakoniec Europa miała się rzucić do broni; a wraz z nim fałszywie przedstawiają tę rzecz Capefigue, Stern, ks. Adam Czartoryski, Hoffmann, Grodecki i inni. Gdy Napoleon wylądował w Cannes, to niezawodnie strachu było wiele w Wiedniu, i kończono sprawy na gwałt. Jeżeli w sprawie polskiej miało to wylądowanie jaki wpływ, to tylko ten że ją sumienniej a raczej porządniej mocarstwa dzielące się wykonały niźliby tego się bez wylądowania Napoleona spodziewać należało, że ustępstwa jakie na korzyść wolności i narodowości uczyniono, Polacy tylko Napoleona rządom »stu dni« zawdzięczać mogą. Polacy bowiem a raczej wojska polskie oddane do niedawna z całym zapałem Napoleonowi, i ślepo wierzące w jego chwałę — za lada danem hasłem — były w stanie podnieść rokosz przeciw porządkowi moskiewskiemu w Polsce, należało więc Polakom podchlebiać ile możności.

Jeżeli jaką szkodę można przypisać wylądowaniu Napoleona to chyba tę, że mocarstwa dzielące się, nie mogąc przyjść do zgody, w końcu możeby zaczęły były wojnę toczyć między sobą, co można było wnosić z nienawiści ks. Metternicha do cara Aleksandra i odwrotnie z pogardy, jaką car dla »tego pisarza« — jak go nazywać zwykł — okazywał. Ks. Metternich zdaje się szukał tylko pewnego sprzymierzeńca, a może myślał o porozumieniu się z Napoleonem I., gdy jak pisze Capefigue:

»Było to wśród uciech dworskich w Wiedniu, uroczystości szły za uroczystościami, bale za balami, w tem wiadomość o wylądowaniu Napoleona doszła uszu kongresu. Dnia 5 marca wieczorem, panujący i większa część ciała dyplomatycznego, zgromadzili się na jeden z tych festynów, świetnych epizodów wśród poważnych prac kongresu. Nigdy może polityka nie była bardziej zapomnianą w obec drobnych miłośnych intryżek salonu. Nagle spostrzeżono cesarzów austrjackiego i rosyjskiego, jak się wraz z królem pruskim usunęli w kąt salonu, mocno jakimś przedmiotem zajęci. Żywy ruch powstaje między obecnemi, wszyscy pytają się z niespokojnością o przyczynę, a niezadługo dowiedziano się, że Bonaparte opuścił na dniu 25 lutego wyspę Elbę. Nie wiedziano jeszcze gdzie się obrócił, gdzie wylądował. Wiadomość przybyła lotem ptaka i obudziła najwyższą niespokojność.....«

»Oczewista rzecz (dodaje inny autor do słów Capefigua); że »żywy ruch między obecnemi,« nie powstał tylko na widok »rozmowy mocarzy w kącie salonu,« ale zapewne na widok niemałego wzruszenia, które się na ich twarzach malowało, o którem grzeczny Capefigue nie wspomina. Nie brakło pewnie między rozromansowanymi nadzieją pokoju i drobnych intryżek miłośnych damami salonu takich, które wytężały słuch, czy bezpośrednio po strasznej nowinie nie usłyszą strzałów znanej z szybkości poruszeń armji Napoleona. Nie brakło owego strachu, który gieniusz Napoleona obudzał, gieniusz ów, który pogrzebany na biednej wyspie, umiał raz jeszcze rozehybać skrzydła do orlego lotu i raz jeszcze tryumfalnie przejść ojczystą ziemię swoją.«

Wieścią o przybyciu Napoleona do Francji podobno najmocniej zatrwożyła się Anglja. Działania Castlereagh'a w ukończeniu spraw kontynentu europejskiego uważano w Anglji za nie dosyć energiczne, dla tego że był w oczach wyrachowanych jej polityków zbyt sumiennym. Przysłano więc na jego miejsce Wellingtona do Wiednia, aby ten wszelkich środków użył w celu przywrócenia nowej koalicji przeciw Francji. Ponieważ najwięcej obawiano się o Metternicha, aby nie przeszedł na stronę Napoleona, a nawet podejrzywano go, że utrzymywał z tymże tajemne stosunki, więc tak umiano mu podchlebiać, a zarazem pod taką ścisłą straż szpiegów go oddano, że ostatecznie Metternich obawiając się o własne życie — jak to okazuje się z aktów pośmiertnych — Metternich wśród serdecznych przyjaciół, musiał przyjąć inicjatywę w deklaracji przeciw Napoleonowi dnia 21 marca 1815 na wyraźne żądanie lorda Wellingtona podczas gdy inne mocarstwa już na dniu 13. marca uznały Napoleona za banitę i przyznały prawowitość rządów we Francji Ludwikowi XVIII. Nawet wówczas gdy już Metternich w imieniu Austrji zdecydował się wystąpić przeciw Napoleonowi, lękano się, że w stanowczym razie, Austrja w obawie przewagi prusko-moskiewskiej nachyli się ku nowemu cesarstwu, i dla tego podchlebiano o tyle Austrji, w czem i car Aleksander uważał za stosowne z dumy spuścić, że Austrję postawiono na czoło wielkiej ligi przeciw banicie.

Carowi Aleksandrowi chodziło najmocniej o spokojność Polaków, wówczas gdy Napoleon 1 marca wylądowawszy w Cannes w niespełna tysiąc ludzi, między którymi miał sto dwudziestu ułanów polskich, tryumfalny odbył pochód przez swoją ojczyznę, witany z niesłychanym zapałem przez wojsko i ludność i stanął, odprowadzony przez krocie Francuzów 20 marca w Tuileriach, podczas gdy Ludwik XVIII umknął z Paryża do Gandawy (Gent). Wojsko polskie było wiadomością o Napoleonie silnie zelektryzowane i czekało tylko wskazówki od ulubionego cesarza aby marzeniom cara Aleksandra o koronie Bolesławów i Jagiellonów koniec położyć Dla tego to car tak nagle spokorniał, tak sam kazał rozpuszczać, szczególniej w Polsce, a mianowicie między wojskiem, fałszywe wieści, że sam z Napoleonem w ścisłych stosunkach jest, i jakoby Napoleon za porozumieniem się z nim przybył do Francji, aby niegodziwości innych mocarstw kres położyć, a carowi ułatwić dokonanie uszczęśliwienia Polaków. Te kłamstwa, tak namacalne, zdołały przecież, jak Lelewel twierdzi, obałamucić wiele łatwowiernych Polaków.

Zarazem w targach z Austrją na kongresie, car niesłychanie zmiękł, bo czuł to dobrze, że Austrji wcaleby nieszkodziły rozruchy w Polsce, i już dnia 3 maja popodpisywał układy dotyczące Polski, odstępując niby dobrowolnie Austrji obłaść tarnopolską, aby je tem prędzej Polakom oznajmić, bo też byłoby to niezmiernie pokrzyżowało interesa carowi i sprzymierzonym, gdyby pochodom wojsk moskiewskich stanęła zrewoltowana Polska przeszkodą w drodze. Ale niestety do tego nie przyszło; car i jego ajenci umieli z czasem przedstawić okrzyczanego banitę za zdrajcę narodu i nieprzyjaciela wolności, za łotra i potwór żyjący krwią ludzką, którego każdy bezkarnie ubić może, tak to wyzyskiwano ciemnotę ludu! Tymczasem sprzymierzeni postawili przeciw Napoleonowi 900.000 wojska wyćwiczonego podczas gdy ten zaledwie 50.000 miał dawnych zaciężnych a 300.000 reszty niewprawnej armji. Nareszcie przyszło do smutnej rozprawy pod Waterloo na wzgórzach St. Jean 18 czerwca 1815. Wiadomy i często opisywany jest przebieg tej bitwy. Przypominamy tu tylko najgłówniejsze okoliczności dla tego, że i tu polski oręż okrył się chwałą. Wiadomo, że już chyliło się zwycięztwo na stronę Napoleona, już Anglicy pod Wellingtonem poczęli ustępywać na jednem skrzydle zupełnie pobici, gdy im w pomoc przybył Blücher, któremu Grouchy zmyliwszy drogę, nie mógł w marszu w czas przeszkodzić. Francuzi wówczas z okrzykiem »Zdrada! Zdrada!« tłumnie uchodzą z pola bitwy zostawiwszy tylko gwardje nieruchome na stanowiskach ginące bohaterską śmiercią. Przy nich poległ i pierwszy szwadron przybocznej gwardji, złożony z owych »ostatnich studwudziestu« ułanów polskich. Napoleon zazdrościł tym 120 świetnego upadku byłby się miał za najszczęśliwszego, gdyby mógł był dzielić los bohaterów z pod Waterloo zamiast przeżyć ich o 6 lat wśród mąk fizycznych i moralnych.

Tymczasem Polacy po tylekroć oszukiwani przez cara, mieli i tą razą złudzeniem przypłacić swoją łatwowierność. Jakież to było owe okrzyczane i wysławiane już naprzód szczęście, które odebrała Polska z łaski cara w skutek kongresu wiedeńskiego? Oto w aktach trzech, o których car Aleksander z taką skwapliwością donosi prezesowi senatu Ostrowskiemu: »Los Polski rozstrzygniętym już został... Jestem królem Polskim... Wielki

interes powszechnego spokoju nie dozwolił, aby wszyscy Polacy byli połączeni pod jednem berłem...« widzimy następujący rozkład: 1) Traktat Rosji i Austrji, 2) Rosji i Prus, 3) Rosji, Austrji i Prus odnoszący się do wolnego miasta Krakowa.

Jak już wspomnieliśmy, traktaty te były tylko wzajemnem poręczeniem trzech mocarstw sprzymierzonych i dowolnie mogły być zmienione, więc są małej wagi. Najważniejsze co w nich znachodzimy jest pierwszy artykuł pierwszego traktatu osnowy tej:

»Księstwo Warszawskie, z wyjątkiem prowincji i powiatów niżej umieszczonych w traktacie, ma być połączone z cesarstwem rosyjskiem, będzie zaś połączone z niem nieodwołalnie przez swoją konstytucję, jako posiadłość cesarza Rosji, jego potomków i spadkobierców na zawsze. J. C. Mość (car Aleksander) zastrzega sobie wolność, nadania temu krajowi, uposażonemu osobną administracją, obszerność wewnętrzną jaka J. C. Mości odpowiadać będzie. Przyjmie zaś wraz z innemi tytułami, tytuł cara i króla Polski.« (D. c. n.)

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

III.

(Dokończenie.)

Na tem kończymy przegląd pism Balińskiego; przegląd krótki, bo gdybyśmy się byli chcieli nad pojedyńczemi ustępami szerzej zatrzymać, pojedyńcze zasady gruntowniej rozebrać, odpowiednie miejsca zestawić, co wszystko byłoby i logiczniejszem i pożyteczniejszem, wkrótce by nam było i miejsca i czasu zabrakło. Chcąc obznajomić czytelników naszych z zasadami Karola, staraliśmy się, o ile możności, jego własnemi przemawiać słowami. Dla tego też nie reasumujemy tu raz jeszcze teoryj Karola o miłości, o obowiązkach względem narodu i t. p., ale za to niech nam wolno będzie położyć tu kilka luźnych wyjątków z listów, których gdzie indziej umieścić nie mogliśmy. I tak o obowiązkach emigracji tak się wyraża w liście z dnia 10 listopada 1860 r.:

Trzeba się dzielić owocem tej kilkunastoletniej pracy tułaczej — bo mają do tego najświętsze prawo, bo to nasz tułaczy obowiązek, bo na to Bóg nas powołał i trzyma, na to nas cierpieniami usposabia, na to światłem prawdy obdarza, abyśmy zagubioną przez naród drogę znów mu wskazywali, i od dalszych zboczeń i pokus coraz teraz większych, ostrzegali.

A o swojem położeniu pod tym względem tak pisze na dniu 12 kwietnia 1861 r.:

Zamknął więc nas Bóg w zakonie tułaczym, w tej ziemi wygnania, abyśmy z dala od świata, w samotności, przez cierpienie, dobili się nareszcie napowrót do tych skarbów roztrwonionych, nauczyli się cenić je jak należy, zamienili je w życie nasze, i abyśmy je podnieśli, pomnożyli do stopnia naznaczonego i w takim stopniu pokazywali je życiem naszem, już nie jednostkowem tylko ale i gromadnem, całemu narodowi — aby i on także zobaczył raz przecie dotykalnie choć z daleka, czem to była ta przeszłość nasza staropolska, już dziś niepojęta i światu i skarłowaciałym potomkom — a zarazem aby i to zobaczył, czem to powinna być przyszłość z takiej przeszłości. Otoż i powołanie nasze, służba nasza, ciężka, bo dużo grzechów na nas ciąży, ale i słodka dusznq pociechą, że to odrobek za przeszłość i zarobek na przyszłość, na doczesność i wieczność. Więc nietylko nie żalę się, mój drogi, na los mój, ale owszem dziękuję zań Bogu z całej duszy, prosząc go tylko codziennie, aby w tej służbie wiernie i czynnie wytrwać nam dopomódz raczył. Piszę ci o tem dla tego, abyś lepiej zrozumiał, dla czego to tak nas raduje każde słowo serca, w którem czuć tę starą naszą rodzinną a narodową treść, wiarę, miłość i nadzieję w Bogu. Czujemy, że dzięki Bogu uczucia te święte żyją w nas, rozniecają się coraz bardziej i wiążą nas ze wszystkiem, co w kraju naszym pozostało wierne przeszłości, czyli mówiąc wyraźniej, duchowi starej, prawdziwej Polski. Błogosławione to serce, co tę przeszłość świętą kocha ciągle, błogosławiony i ten, kto do tej przeszłości sercem powrócił. Ale niedość jeszcze tego, niedość kochać ją, trzeba ją jeszcze zrozumieć że tak powiem do dna, trzeba pojąć, co stanowiło jej istotę, a ztąd jej siłę, jej wielkość, jej potęgę — aby zrozumieć, co ją do grobu wepchnęło, a następnie co ją z grobu wyprowadzi jedynie i wyżej niż kiedykolwiek była, wyniesie do coraz wyższego i rozłożystszego wzrostu na wieki wieków, aż do skończenia wieków.

Przytoczmy jeszcze dalszy ustęp z tego samego listu, wskazujący, jak ową przeszłość pojmował:

Pociąg do historji i literatury wcale mi się wydaje chwalebnym, i nietylko dla tego, że sam jestem historykiem i literatem z powołania, ale jeszcze głównie dla tego, że jako rzekłem wyżej, zrozumienie przeszłości uważam za warunek konieczny, niezbędny do odbudowania przyszłości. Z ogromnej a prześwietnej budowy Rpltej naszej został tylko na ziemi i na mapach abrys, ślad blady jej rozległości. Ściany, kolumny rozwiane w niwecz, fundamenta jednak dzięki Bogu zostały — ale nie w ziemi, tylko tam, zkąd niegdyś ojcowie wywiedli całą tę przecudną świątynię Bożą, dziś już niewidzialną na świecie.

Fundamenta te są w duchu narodu, w piersiach tych, co się jeszcze niewypolszczyli do ostatka, a pono najszerzej w piersiach ludu — i tam leżą zaklęte, niezrozumiałe mędrcom, niepojęte do końca nawet przez tych, co je w sobie przechowują wiernie ale bezczynnie.

Wreszcie o stanie dzisiejszego naszego dziejopisarstwa tak się wyraża w liście z dnia 5 listopada 1861 r.:

Bardzo rad jestem z jego popędu do historji, do dziejów ojczystych szczególnie, boć to właśnie tę naukę przezacny hetman Żółkiewski w testamencie swoim koniecznie synowi zaleca. Szkoda tylko niestety, że my jeszcze prawdziwej historji naszego narodu nie mamy i prawdę mówiąc, to trzebaby każdego młodzieńca poczynającego brać się do poznania tych skarbów podziemnych, trzebaby mówię, prowadzić jeszcze za rękę po tym labiryncie, a przedewszystkiem trzebaby dać taką latarkę miłości wielkiej do rąk, żeby mu jej nie zadmuchnął powiew lodowaty tych pisarzy, co na wzór zachodni pisząc, nie wyjaśnili ale raczej zaciemnili przeszłość i nie nęcą do niej wcale, ale owszem odpychają.

Znalazłoby się jeszcze bardzo wiele pięknych i pouczających ustępów, bo obznajamiających nas z zapatrywaniem się Balińskiego na rzeczy prywatnego życia, lecz dotykają one zanadto mocno niektórych stosunków jego znajomych, i żadną miarą teraz jeszcze podane być nie mogą.

A teraz jeszcze wróćmy na chwilę do osoby Karola, by skreślić niedopowiedzianą w pierwszym rozdziale resztę jego życia.

Zakończenie.

Pierwsze siedm pieśni »Męczeństwa« drukowały się w drugim tomie Biblioteki Ossolińskich, a w głowie Karola przy nieco polepszonej materjalnej doli roiły się niezliczone pomysły prac nowych, gdy oto z początkiem r. 1863 ważne odmiany zdarzyły się w spokojnem dotąd jego życiu. Pierwsze strzały powstańcze odbiły się głośnem echem we wszystkich piersiach Polskę szczerze kochających. Wierzono lub nie wierzono w powstanie, jak komu zapał lub zimna rozwaga dyktowała, niemniej jednak wszystkich uczucia i myśli skierowane były w stronę walki, zajęte przyszłym losem rozpoczynającego się właśnie krwawego dramatu. Wieść ta nie zatrzymała się na granicach Polski — chyżym lotem przebiegła świat cały. I tu podobne spotkały ją koleje. Jedni witali ją nadzieją, inni litością. Śród zamętu najróżnorodniejszych zdań i doniesień nie mogąc dojść prawdy, udał się Karol do swych przyjaciół w kraju o pewne prosząc wiadomości. Przytaczamy list ten w całości zwracając uwagę na jego krótkość; pod wpływem bowiem silnego uczucia nie mógł pisać o czemś innem, podczas gdy wszystkie poprzednie listy obejmują zwykle dwa lub trzy arkuszyki, traktują najrozmaitsze kwestje, a i tych nigdy ostatecznie nie wyczerpują. List ów brzmi:

Najdrożsi!

Od kilku dni dochodzą nas wieści najrozmaitsze o tem, co się w Polsce dzieje — ale ile jest w tem prawdy, wiedzieć nie możemy, bo rząd tutejszy wielce nam nieprzychylny, zdaje się, że umieszczać

pozwala w dziennikach to tylko, co mu się podoba, a co nas w zamęt tylko wprowadza.

Udajemy się tedy do was z najżywszą prośbą, abyście nam jak najprędzej donieśli wszystko, co za prawdę wiecie z kraju. Pojmujecie co się z nami dzieje, jesteśmy prawdziwie jak na mękach w tej niepewności, nie mogąc nic stanowczego z sobą przedsięwziąść.

Błagamy was tedy na miłość Boga o wieści z kraju i co u was.

Oczekując z najżywszą niecierpliwością listu od was, ściskamy was wszystkich z całej duszy i polecamy Bogu

wasz *Karol.*

Musimy także nadmienić, że gdy zwykle listy z Paryża piątego lub szóstego dnia dostawały się na miejsce przeznaczenia, ów list podróżował miesiąc blizko, a stęple pocztowe tak były zamazane, że w żaden sposób nie można było odczytać, na której stacji tak długo się zabawiał. Zanim więc żądana odpowiedź nadejść mogła, rzecz cała się wyjaśniła. Zaraz w połowie lutego podążył na pole walki starszy brat jego Aureli, a Karol sam został tylko dla uporządkowania interesów, poczem także miał się udać do kraju. Tymczasem Aureli przybył do obozu jen. Langiewicza, gdzie został mianowany gewaltigerem. Wkrótce zjednał sobie miłość towarzyszy broni, a zwłaszcza kosynierów, z którymi widząc ich upośledzenie przez inne bronie, umyślnie razem jadał, maszerował, śpiewał pieśni nabożne. To też gdy w bitwie pod Grochowiskami, już po opuszczeniu placu przez jen. Langiewicza wojsko powstańcze cofało się w zupełnym nieładzie a moskiewska piechota zewsząd napierała, Aureli przyjeżdża do cofających się kosynierów, kilku słowami wstrzymuje ich i uderza z nimi na nieprzyjaciela. Ledwo zabrzmiał okrzyk »Matko Boska, Królowo Polska, ratuj nas« i zabrzęczały kosy, a nieprzyjaciel party na drugim skrzydle przez równoczesny atak żuawów pod jen. Rochebrunem podaje tył i wnet w puch rozbitym zostaje. Czyn ten uratował cały oddział Langiewicza od zupełnej zagłady. Aurelemu przestrzelono śród owego ataku prawą rękę, a tylko wielkie szczęście, że śmierci uszedł, gdyż prowadząc kosynierów jechał konno na kilka kroków przed kolumną. Jako ranny został odwieziony do Krakowa, gdzie znalazł nader troskliwą opiekę w domu Jerzego księcia Lubomirskiego. Na wiadomość o chorobie brata przyspieszył Karol wyjazd z Paryża i przybył w pierwszych dniach Kwietnia do Krakowa.

Z łatwych bardzo do pojęcia względów o pobycie jego w kraju bardzo mało możemy napisać. Wiosnę przepędził przy łóżku brata, lato w kąpielach swoszowieckich. W połowie października zjechał do Lwowa. Niepowodzenia powstania a bardziej jeszcze prywata tak ciągle na jaw się wykluwająca raz po razu raniły serce Karola. W pierwszych dniach listopada zrobił wraz z bratem wycieczkę na Podole. Tu mieliśmy sposobność osobiście go poznać. Wzrostu był średniego, brunet, łysy, broda czarna, rzadka, twarz wielą zmarszczkami i bliznami oszpecona, nieprzyjemne na pierwszy rzut oka robiła wrażenie. Budowa ciała nadzwyczaj wątła, bezsilny, gdy szedł, zdawało się że lada wiatr z nóg go powali, głos cichy i słaby. Ułożenie całe bardzo skromne, choć poważne i nacechowane godnością. W towarzystwie zwłaszcza mniej znajomem lubił przysłuchiwać się tylko rozmowie, sam milczał i dopiero, gdy spostrzegł coś, co go bardzo raziło lub bardzo mu się podobało, odzywał się. Często jednak i wtedy, zwłaszcza w razie nagany, dopiero później w cztery oczy prostował niestosowne twierdzenie lub znalezienie się. W obejściu nie powiem delikatny, bo by to było za mało, ale zaprawdę miłościwy, wszystkich do siebie pociągał. Dysput, jakeśmy już o tem wspominali, w ogóle nie lubił; lecz za to, gdy się widział w gronie przyjaciół, przez których spodziewał się być dobrze zrozumianym, a jeżeli nadto jeszcze jakiś przypadek trącił o którąś czulszą strunę uczucia, natenczas zapalał się Karol. Wówczas zwykle przemknięte oczy roztwierały się szeroko i jasnem rozbłyskiwały się ogniem, całe ciało się prostowało, głos stawał się czystszy i silniejszy, a cała postać uroczym jaśniała blaskiem.

Dwa razy tylko widzieliśmy go w tym stanie — raz, gdy w dzień św. Edmunda spełniał zdrowie nieobecnego nam wprawdzie, ale sercu jego niemniej drogiego zwycięzcy z pod Salichy, drugi raz na odjezdnem w Tarnopolu. Jak dziś widzimy go jeszcze! W ciasnej izdebce zajezdnego domu obsiedliśmy mały stolik. On popadł zrazu w jakąś zadumę, snać zgadywał przyszłość; my mówiliśmy o tem, o czem zwykle wówczas rozmawiano. Nie pamiętam już, które słowo zbudziło go z zadumania, dość że nagle odezwał się już podniesionym głosem. Zrozumieliśmy łatwo, że nadeszła nań chwila natchnienia, więc przerwaliśmy natychmiast rozmowę i umilkli. Mówił coś o pełnieniu obowiązków nie oglądając się na to, co dalej nastąpi, o pewności ostatecznego zwycięztwa sprawy narodowej, choćby śród walki dzisiejsze pokolenie i wyginąć miało. A potem zwracając się do bardziej osobistych stosunków mówił, że przyjaźń na wspólnem pełnieniu woli Bożej oparta, nie kończy się śmiercią, ale trwa i po za grobem w »świętych obcowaniu«. Nareszcie zaczął improwizować. Wiersz płynął gładko, potoczyście, jakby wygłaszał rzecz doskonale wyuczoną. Tylko kilka ostatnich wierszy zdołaliśmy spamiętać, gdy zwracając się do blizkiego odjazdu mówił w najwyższem uniesieniu:

No Olesiu! wina dolej,
Niechaj kielich idzie w kolej!
Jak dziś pijem jedną miarą,
Jedną miarą i napojem,
Tak nam wierzyć jedną wiarą,
Tak nam walczyć jednym bojem.

W tem otworzyły się drzwi i wszedł ktoś mało znajomy. Karol urwał nagle, a zanim wymieniliśmy parę słów zwykłego przywitania i zrobili miejsce nowo przybyłemu przy stole, był on już w zwykłym stanie, tylko smętniejszy nieco i mniej mówiący. Wkrótce zajechał najęty powóz; pierwej nieco wyrzeczone słowa Karola, żeśmy się już więcej widzieć nie mieli, na razie zwykłem »co też ci to za myśli przychodzą« przyjęte, dziwnie nas w serca bodły. Po niemem prawie bez słów pożegnaniu odjechali Balińscy, a słowa owe aż nadto prędko się ziściły.

Smutne ówczesne stosunki kraju coraz bardziej zakrwawiały serce Karola, a do szczętu nadwątlały i tak słabe zdrowie. Widząc, że nie ma dlań we Lwowie odpowiedniego zajęcia, chciał wracać na Podole i miał tam zjechać przed świętami Bożego Narodzenia, gdy na parę dni przed wyjazdem policja »położyła nań rękę« i zmusiła do pozostania w mieście. Narodowe nieszczęścia na smutny i boleśny ton nastroiły mu lutnię, to też »Zaprzaniec«, ósma pieśń »Męczeństwa« w drugiej połowie grudnia pisana, jest wiernym obrazem tego, co się wówczas działo w duszy Karola. Jakby przeczuwając, że było to ostatniem, co miał na ziemi wyspiewać, zwraca się ku rodzinnemu krajowi, ku naszym dzisiejszym stosunkom i kończy serdeczną modlitwą, by naród wytrwał na raz przedsięwziętej drodze. Wreszcie dodaje, że jeżeli teraz (t. j. w b. r.) nie osiągniemy celu życzeń naszych, to

Niech z naszych mogił Polsce się stanie
Droga do Ciebie, Wszechmocny Panie,
Niech Polsce zbawczą sterczą przestrogą,
Żeś Ty żywotem, prawdą i drogą.

Pieśń tę do druku przygotował w piątek, a w niedzielę już zachorował. Ale cofnijmy się dwa lata w przeszłość.

W r. 1862 pierwszego stycznia powracając (jeżeli mię pamięć nie myli) od Nabielaków, gdzie wieczór przepędził, uczuł około godziny dziesiątej mocne kłucie w piersiach, tak iż go brat na rękach prawie zaniósł do mieszkania. Wywiązało się wkrótce silne zapalenie płuc. Lekarze zwątpili o zdrowiu chorego. On gorąco prosił Boga o śmierć na własnej ziemi *) i wierzył, że mu Bóg tej łaski udzieli.

---

*) Jak gorąco tego zawsze pragnął, przekonują nas dwa wierszyki umieszczone w „Myślach serdecznych". Szajnocha napisał do Karola wierszyk na temat *sit tibi vita levis*, który kończy strofką:

A gdy zaśniesz snem na wieki,
Śmieszna życzyć ziemi lekkiej,
Ziemia lekka moje dziecię!
Niech ci lekkie będzie życie.

Karol na tułaczce inaczej tę rzecz pojmował i tak odpowiada:

Cóż ci to tak wzrok zaciemnia,
Iż powiadasz „lekka ziemia".

Szczegóły te były nam opowiadane w listopadzie r. 1863, a więc najzupełniej są wiarygodne.

I przyszedł do zdrowia po owej słabości. Atoli dziwna rzecz, niepojęta — jak tyle innych, o których świat dzisiejszy, co chce wszystko wytłumaczyć miarą i wagą, mówi że to czysty przypadek i rzuciwszy tak szumnie słowo bez znaczenia, ba nawet więcej, bo wręcz przeciwne przyjętemu systematowi, myśli, iż rzecz wyczerpnął do głębi. Oto pierwszego stycznia r. 1864 wieczorem o tej samej porze dostaje Karol początków zapalenia płuc. Choroba przy troskliwem pielęgnowaniu nie przybiera nader zatrważających rozmiarów. Lekarze robią wszelką nadzieję. Wszyscy wierzą w powrót zdrowia, tylko Karol nie wierzy. Ile stać na to schorowane ciało, skupia ducha, by się przygotować do ostatniej chwili i w nocy z dziesiątego na jedenasty, gdy czuwający przy nim cieszą się jego spokojem, prawie bez jęku usypia snem wiecznym.

Dwunastego stycznia odbył się pogrzeb. Cała prawie młodzież akademicka i wszystkie obecne znakomitości pióra i czynu wraz z licznym zastępem znajomych pospieszyły odprowadzić na miejsce spoczynku zwłoki spiskowca, więźnia, Sybirjaka, tułacza, poety i myśliciela. Ciało jego w prostej dębowej ukryte trumnie złożono na cmentarzu łyczakowskim. Wkrótce nad grobem stanął piękny choć skromny nagrobek, duża płyta z niebieskiego kropkowanego marmuru karpackiego z napisem:

KAROL BALIŃSKI

ur. 25 maja 1817 — um. 10 stycznia 1864.

To dzieje jego ziemskiej powłoki, ale jakiż los pism jego, tych pism, w których część duszy swej zostawił? W Anglji, Francji, Niemczech lada pisarz doczekuje się po śmierci kompletnego wydania pism swoich, bo pojmują, że każda cząsteczka prawdy ma swoją wartość, że więc ją trzeba wszędzie gdzie tylko się znajduje, wykazać, wygrzebać, wynaleźć. U nas gdy ktoś do pierwszorzędnych lub przynajmniej bardzo ulubionych pisarzy nie należy, rzadko kiedy minie się z oziębłością i lekceważeniem.

W naszym szczególnym wypadku znalazł się szlachetny mąż, który na wydanie dzieł Karola ofiarował odpowiednią sumę. Że rzecz ta do skutku nie przyszła, nie jego w tem wina. Ale czy ci, co z jakichkolwiekbądź osobistych pobudek wstrzymują oddanie narodowi tego, co niezaprzeczenie ogółu jest własnością, nie popełniają ciężkiego grzechu? Niech odpowiedzą sobie sami, w sumieniu!

Przykro nam, iż musieliśmy niejako zapozwać przed ów surowy trybunał tych, dla których zostajemy zawsze z głębokim szacunkiem i żywą miłością, ale wypowiedzieliśmy sumiennie przekonanie nasze, a względy dobra publicznego przeważać mają wszystkie inne.

W skutek tego ważniejsza połowa prac Balińskiego spoczywa w rękopiśmie. *Władysław Kociatkiewicz.*

Korespondencje.

Heidelberg dnia 2 marca 1866 r.

Chcąc was bliżej zapoznać z wykładami na tutejszym uniwersytecie postanowiłem sobie od czasu do czasu nadsełać wam w formie listów sprawozdanie z tutejszych wykładów nauk przyrodniczych.

I. W licznym orszaku uczonych niemieckich, których imiona historja nauk przyrodniczych do potomności przechowa, jedną z pierwszych miejsc zajmie Robert Bunsen prof. chemji na tutejszym uniwersytecie, znany ze swych gienjalnych prac. On to wspólnie z Kirchhoffem prof. fizyki zrobił niedawnymi czasy odkrycie, pozwalające nam wydawać sądy niemal stałe o naturze słońca, gwiazd stałych, mas kosmicznych, odróżniać poprzednio niczem niewykryte pierwiastki czyli elementa, inne znowu ciała analizować z łatwością, jak nie mniej wykonywać z wielką biegłością doświadczenia w celu wyszukiwania nowych ciał pierwiastkowych.

Tak więc w XIX wieku człowiek wdziera się w najodleglejsze krainy świata i analizuje planety, gdzieś w bardzo odległej zawieszone przestrzeni w ten sposób, jakby je miał ustawione w swej pracowni. Najskrytsze zjawiska natury odkrywa obracając je na swój pożytek i jak niezwyciężony olbrzym opanowuje najsilniejsze dźwignie przyrody, kierując niemi dowolnie; a cóż jeszcze z postępem czasu być może?

Znane jest czytelnikom widmo słoneczne (*spectrum* słoneczne) przedstawiające nam siedm pojedyńczych kolorów składających światło białe; te kolory są: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski, indygo i fioletowy. Na tle tych kolorów otrzymanych ze światła słonecznego okazują się ciemne do długości widma pionowo położone linje, które najprzód przez uczonego angielskiego Wollastona wroku 1802 spostrzeżone były. Ciemne te linje dzisiaj noszą nazwę linij Fraunhofera, który nieznając spostrzeżeń Wollastona później trochę, też same linje spostrzegł i badał; żeby zaś mieć stały punkt wyjścia i nie zaginąć w chaosie mnóstwa tych linji oznaczył najwybitniejsze z nich wielkiemi głoskami alfabetu, co zapewne spostrzegli czytelnicy przeglądając nieraz dzieła fizyki; lecz tak pierwszy jak i drugi nie domyślali się nawet ważności tych linij. Te to linje na pozór mało ważne stały się pod badawczem okiem Bunsena i Kirchhoffa niesłychanie ważnym odczynnikiem w prawach analizy chemicznej i spostrzeżeniach fizycznych.

Ci uczeni spostrzegli, że pary ciał pojedyńczych podniesione do temperatury czerwoności dają także widma czyli *spectra*, podobnie jak słońce, ale te *spectra* nie mają tyle barw a posiadają tylko kolor pojedyńczy (*Monochromatisches Licht*) właściwy danemu ciału, i dają się widzieć w postaci wąskich pionowych pasków czyli linij, nadto, że każde ciało proste wydaje ze światła swego podobne paski, ale powtarzam koloru sobie właściwego. Np. metal zwany *natrium* znajdujący się w soli kuchennej daje linję koloru żółtego, metal zwany *kalium* znajdujący się w znanym ogólnie potażu daje linję czerwoną i t. p.

Oprócz tego przekonano się, że chociażby różne ciała pierwiastkowe zmieszane z sobą były, to ich pary w temperaturze czerwoności wydzielają światło, które przeprowadzone przez pryzmat szklanny (tak samo jak światło słoneczne dla otrzymania widma) daje osobne linje, cechujące się odmiennym, ale stałym dla każdego pierwiastku pojedyńczym kolorem, jak również miejscem położenia, które dla linij każdego ciała pierwiastkowego jest zawsze jedno i to samo. Widzimy więc, że kolor i położenie tych linij daje nam możność poznania jakości ciał nawet chociażby te w najmniejszych ilościach się znajdowały.

Nie będzie tu od rzeczy wspomnieć czytelnikom, że pod ciałem prostem czyli pierwiastkiem rozumiemy ciało niedające się na inne ciała rozłożyć, jak np. gazy zwane: tlenem, wodem, chlorem i t. p. dalej metale jak potas, sód, żelazo, cynk, srebro, złoto i wiele innych także są ciałami pojedyńczemi.

Te linijki kolorowe czyli malutkie widma ciał prostych będąc porównywane z owemi ciemnemi linjami Fraunhofera w widmie słonecznem okazują toż samo położenie, to jest w tem samem miejscu gdzie następują ciemne linje widma słonecznego, robiąc drugie doświadczenie, spostrzegacz dojrzy owe linje kolorowe. Dla czego odwrotne występowanie tych linij musi mieć miejsce, objaśniać nie mogę, gdyż to naprowadziłoby mnie na przedmioty zbyt specjalne i trudzące czytelników.

Ażeby należycie takowe linje badać i objawianie się takowych w zastosowanie nauki wprowadzić Bunsen i Kirchhoff utworzyli aparat zwany spektralnym (*Spectralaparat*), cechujący się nadzwyczajną prostotą budowy, który nawet dla czytelników mało zajmujących się podobnymi przedmiotami w zupełności pojętym i zarazem ciekawym być może.

Na trzech małych nóżkach umieszczona jest okrągła tablica w środku której stoi pryzmat czyli graniastosłup trójścienny zrobiony ze szkła ołów zawierającego. Idąc od środka tej tablicy umieszczona jest na niej w kierunku promienia rurka metaliczna, na końcu zewnętrznym opatrzona wąskim otworkiem, którym to światło ciała w lampie

---

Ha, bo ty szczęśliwe dziecię
Tylko własną znasz na świecie.

A potem:

Niech więc los jak zwodził, zwodzi,
Niech po gromie grom nadchodzi,
Niech zawody będą krwawe,
Niech już życie będzie łzawe.
Lecz gdy zawrze śmierć powieki
Życz nam bracie ziemi lekkiej,
Naszej, polskiej, moje dziecię,
Bo ta obca strasznie gniecie
— — — — — — —
Cięższa niż najcięższe życie.

gazowej powstające, wdziera się i pada na pryzmat, gdzie się załamuje idąc drogą mu wskazaną przez lunetę, także w kierunku promienia tablicy umieszczoną, aż do oka spostrzegacza, które widzi wąską linijkę szerszą nieco od owego wąskiego otworku przez który światło wpada i jednocześnie pewną skalę z podziałkami, odrzuconą przez pryzmat z trzeciej rurki.

Jednocześnie więc występują kolorowa linja i skala z podziałkami, można więc ściśle oznaczyć na której podziałce w skali dana linja się znajduje. Chcąc otrzymać pary wielkiej liczby ciał, trzeba użyć bardzo wysokiej temperatury, aby ze skutkiem światło każdego ciała przez aparat przeprowadzić. Do podobnych doświadczeń nie zawsze jest wystarczająca gazowa lampa Bunsena. Prof. Kirchhoff używał przy swych doświadczeniach z ciężkiemi metalami iskry elektrycznej, która dany metal zamieniała w parę, dając światło metalu badanego, nadto dla konieczniej potrzeby w doświadczeniach, światło słoneczne zastępował sobie nieraz światłem Drumonda (mieszanina dwóch gazów: wodoru i tlenu zapalona w obecności kredy). Na tej drodze doszli, że metal żelazo daje mnóstwo linij sobie właściwych, że metal *calcium* (wapń) w wapnie będący daje także pewne linje itp. Gazy i inne ciała niemetaliczne dają także w spectralnym aparacie sobie właściwe linje. Cóż z tego za wniosek wyciągnąć możemy? Oto chcąc poznać jakie ciało mamy do badania, należy go podnieść do wysokiej temperatury i wydzielone światło z niego przeprowadzić znanym otworkiem do aparatu, w którym badacz z koloru linij poznaje ciało.

Tym samym sposobem możemy analizować różne ciała światło wydające jak: słońce, gwiazdy stałe, masy kosmiczne, płomienie ziemskie i różne sztuczne ognie, należy tylko schwytane promienie świateł tych ciał przeprowadzić przez aparat.

Badanie natury gwiazd stałych i mas kosmicznych, tych świecących ciałek ale w niesłychanie dalekiej przestrzeni położonych, jest znacznie trudnem, gdyż do przeprowadzenia ich słabego światła przez aparat używać należy pewnych przyrządów optycznych. Badania te wykonane były przez uczonych angielskich W. A. Millera i Williama Huggins w roku 1864 o których później wspomnę.

Fizyczną stronę spektralnego aparatu z najdokładniejszemi późniejszemi modyfikacjami obrobił gienialny prof. Kirchhoff, któremu zawdzięczamy bystre, oparte na zasadach nauki objaśnienie natury słońca, która dotąd na domysłach tylko gruntowaną była. Strona zaś chemiczna przy badaniach spektralnego aparatu należy się P. Bunsen.

On to przy różnych próbach, wkrótce po zbudowaniu aparatu, spostrzegł w nim pewne linje różne od dotychczas mu znanych — a to naprowadziło go na myśl, że one muszą należeć do innych dotąd nieznanych pierwiastków i w rzeczywistości prace jego są uwieńczone odkryciem dwóch nowych metali, jeden z nich nazwał *Rubidium* a drugi *Caesium*, o których sam Bunsen wyraża się, że bez powyższego aparatu nigdy odkryte by nie były. Wkrótce potem tąż samą drogą od kryto znowu dwa nowe ciała pierwiastkowe mianowicie metale *Thallium* i *Indium*, tak, że dziś liczba ciał prostych doszła do sześćdziesięciu czterech. Co się tyczy słońca, to ono w aparacie pokazuje, że zawiera pary w temp. czerwoności tworzące jego atmosferę, te pary są z metali natrium, magnesium, calcium, barium, żelaza, chromu, niklu, kobaltu, cynku, miedzi, oraz pośród których znajduje się gaz wodorem zwany, gdy tymczasem ciała jak aluminium, złoto, srebro, cyna, żywe srebro, arszenik, antymon i inne nie pokazują swej bytności. Zwątpienia jakie się tu jeszcze nasunąć często mogą, są małej wagi i wkrótce zapewne przez odkrywcę objaśnione będą. Na drugich planetach spostrzeżemy pierwiastki inne jak na słońcu, ale w ogóle, to co dotychczas znane jest pokazuje, że wszechświat z tych samych ciał złożony jest co i nasza ziemia, ale w różnym stosunku rozrzuconych.

Z odwrotności występowania kolorowych i ciemnych linij jak również z innych naukowych powodów prof. Kirchhoff objaśnił, że stała masa (jądro) słoneczna, wydawałaby zupełne widmo wielkiej jasności, jeżeliby była bez atmosfery, co się tak nie dzieje, gdyż widmo daje ciemne linje od wpływu tej atmosfery metalicznej pochodzące.

Te rozpalone gazy tworzące atmosferę słońca same dla siebie dawałyby w aparacie widmo, ale złożone z jasnych linij przedzielonych ciemnemi miejscami, chociażby wyż wspomnionej stałej rozpalonej masy słońca nie było; jeżeli zaś w środek tej atmosfery rozpalonej metalicznej i gazowej włożymy rozpalone jądro, to otrzymamy właśnie w aparacie widmo kolorów i owe ciemne linje Fraunhofera. Ztąd wnosimy, że słońce składa się z jądra stałego lub ciekłego w temperaturze białości otoczonego atmosferą także rozpaloną i że zawiera w składzie swoim powyżej wymienione ciała.

To objaśnienie popiera zarazem hipotekę Laplasą, że nasz system słoneczny był w pewnej epoce masą gazową rozpalony, z której formowały się planety; te to powoli zastygały, a z pomiędzy nich ziemia ostygła znacznie i stała się mieszkalną dla istot żyjących. Nie wszystkie planety mogły w jednakowym czasie zastygać i powoli kształtować się, w tenże sam sposób. Im większa jest masa ciała rozpalonego, tem dłuższego czasu potrzebuje ono, ażeby wystygło i w rzeczywistości wiemy przecież ile razy słońce jest większe od ziemi. Jeżeli więc ziemia dla wystygnięcia potrzebowała miljony, miljony lat, to możemy być silnie przekonani, że cała masa słońca tak jądro jak i atmosfera jest rozpaloną do białości i że nie jest jak mniemał Willamson, Arago i inni masą ciemną lub zimną otoczoną pewną fotosferą, która to posiadała temperaturę rozpalonej białości. Prawa fizyki pokazują, że jeżeli atmosfera jest rozpaloną, to i jądro wewnątrz niej będące musi być również rozpalone, inne znów prawa pokazują, że jeżeliby owo jądro nie pochłaniało promieni ciepła z atmosfery, to musiałoby być przezroczyste tak, że z ziemi patrząc przy pewnem rozrzedzeniu owej atmosfery słonecznej widzielibyśmy dalszą przestrzeń sklepienia niebieskiego po za słońcem.

Że słońce jest ciemnem jądrem otoczonem pewną atmosferą rozpaloną, to twierdził Willamson i inni z powodu spostrzeganych plam ciemnych na słońcu, które podług niego były częściami jądra z poza atmosfery się ukazującego w pewnym czasie rozrzedzenia jej.

To mniemanie zostało zbite przez Kirchhoffa, który na prawach fizyki dowiódł również, że te czarne plamy są to pewnego rodzaju nagromadzone pary metaliczne, które z naszemi chmurami porównać można.

Na tym kończę opis prac Kirchhoffa w tym kierunku i chcę przedstawić czytelnikom pobieżenie tylko rezultata prac, wspomnionych już Millera i Huggins'a, którzy otrzymali z wielką trudnością spektra mas kosmicznych i pokazali, że one są złożone z dwóch tylko gazów, mianowicie wodorodu i azotu w temperaturze wysokiej będących, bez żadnego stałego jądra. Nadto, że gwiazdy stałe jak np. Sirius składa się z wodorodu, metalu natrium i magnesium, inne jak Pegase z metalu natrium i magnesium; (α) *alfa Orionis* z metalu natrium, magnesium, calcium, żelaza, bismutu i thallium; inne jeszcze więcej pierwiastków w sobie zawierają.

Czytelnikom chcącym się bliżej poznać z pracami Kirchhoffa o spectrum słonecznem przesyłam tytuł jego dzieła: „*Untersuchungen über das Sonnenspectrum und die Spectren der Chemischen Elemente.*“

D........

Uwagi nad Fizyką dr. Czesława Rodeckiego.

(Napisał Wojciech Kornicki.)

„Qui bene distinguit, bene docet.“

W pierwszych dniach lutego b. r. wyszła w Krakowie fizyka, napisana przez dr. Rodeckiego a przeznaczona dla niższych szkół gimnazjalnych i realnych.

Będąc sam profesorem fizyki przy gimnazjum, w którem ten przedmiot w pierwszych czterech klasach w języku polskim wykładać wolno, z przyjemnością chwyciłem za pożądaną książkę, gdyż właśnie w tej chwili brak podobnego dzieła, a to z tych powodów czuć się daje, że edycja fizyki dr. Urbańskiego zupełnie wyczerpana, tłumaczenie zaś fizyki experymentalnej ś. p. dr. Augusta Kunzeka, poczęta przez dr. Staneckiego, jakoś oporem idzie.

Znaczenie książki szkolnej, moje powołanie, niemniej wyrzuty nauczycielom częstokroć czynione, że tak pod względem pisania jak też oceniania książek szkolnych obojętnie a nawet apatycznie się zachowują, spowodowały mię do napisania niniejszych kilku uwag nad tą pracą, tak co do jej zalet jak też stron ujemnych.

Do zalet tej książki zaliczam:

1) niewielką jej objętość, mimo, że niemal wszystko do zamierzonego celu niezbędne w sobie zawiera;
2) materjał dobrze dobrany, w swoich szczegółach po większej części według potrzeb książki szkolnej stosownie opisany, oraz zastosowany do planu organizacyjnego dla szkół w Austrji;
3) drzeworyty stosowne, ich zaś objaśnienia na wielu miejscach nawet bardzo dobre;

4) niektóre wnioski, wyprowadzone z dawno już znanych praw fizyki, są oryginalne i trafne.

Lecz jak to już na tym świecie nic bez ale, tak też i ta książka ma swoje ujemne strony, które tu *sine ira et studio* przytaczam, lecz czynię to jedynie w tym celu, by się może przyczynić do poprawienia tej w swojej całości jeszcze nienajgorszej książki. Nim jednak ze założenia się wywiążę, nie od rzeczy będzie przytoczyć, jakie według zdania mego książka szkolna zalety mieć powinna.

Szkoła w ogólności, a więc i jej książka powinna być ze wszech miar wzorową. Jednak nadewszystko powinna książka szkolna:

1) być treściwą a przytem odznaczać się trafnością przedstawienia tak pod względem wysłowienia się jak też zachowania ścisłej logiki i pewnej racjonalnej metody;
2) najtroskliwiej i najsumienniej przestrzegać czystości języka, w którym jest napisana. —

Pierwszy wzgląd winna wiadomości, którą uczyć, drugi zaś narodowi, któremu służyć zamierza. Książka szkolna służy nietylko uczniowi lecz i niedoświadczonemu nauczycielowi; pierwszego uczy przedmiotu i logicznego sposobu myślenia, drugiemu zaś dostarcza pożądanych skazówek tak pod względem metody jak też i wyrażania się, zwłaszcza jeżeli nauczyciel niemal wszystkie swe wiadomości przeważnie w innym nabywał języku.

W niniejszych uwagach głównie punkt pierwszy na względzie miałem, a ponieważ usterki w tej książce zawarte różnego są gatunku, dzielę je więc na następujące oddziały.

A. Usterki co do przedstawienia i wyrażania się.

Nauka o siłach czyli mechanika jest najpierwszą i najważniejszą częścią fizyki, nazwałbym ją nawet fizyką w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Z tego powodu powinna książka dla młodzieży początkującej napisana, najtroskliwiej i najoględniej starać się o jasne wyłożenie zasadniczych pojęć i prawideł mechaniki. Do tych należy nadewszystko nauka o sile wypadkowej (rezultującej) dwóch lub więcej sił na punkt lub ciało jednocześnie działających. Dokładne tego pojęcia zrozumienie jest *conditio sine qua non* w mechanice, a więc i w fizyce. Ani wątpię, że szanowny autor bardzo dobrze rozumie znaczenie siły wypadkowej, niemniej że dobrze wie, co tem słowem oznaczamy; a jednak zupełnie się nie zgadzam ani ze sposobem, w który autor początkowca do zrozumienia tego pojęcia prowadzi, ani z definicją wypadkowej, do której tą drogą zdążył.

Dwie główne są drogi czyli metody, któremi zmierzamy do wyprowadzenia prawideł fizyki, jako to: 1) metoda indukcyjna czyli teoretyczna, 2) metoda empiryczna. Chociaż pierwsza z nich o wiele wyższe ma zalety, jednak dla umysłów jeszcze niewyrobionych, niedojrzałych, stosowniejszą jest metoda empiryczna, którą też ile możności w książkach dla początkujących napisanych stosować zwykliśmy. Mimo to jednak wszystkie niemal lepsze książki, chociaż dla najmłodszych pisane, zmierzając wyjaśnić pojęcie wypadkowej i wyprowadzić prawidła jej się tyczące, uciekały się dotychczas do drogi teoretycznej, starając się wyrozumować, jaką byłaby siła wypadkowa dwóch lub więcej sił, gdyby one na punkt, który jest czemś idealnem i tylko w teorji egzystuje, działały. Czyniono to dotychczas z tych powodów, gdyż zawieszając dwie lub więcej sił na ciało, niezbędną jest rzeczą uwzględnić niektóre własności materji, która to ciało składa, a które, podczas gdy siły zewnętrzne na ciało działać poczynają, jako odrębne siły występują i opór stawią. Tego rodzaju własnościami są: ciężkość, sprężystość i inne. — W książkach dla młodzieży początkującej napisanych uzmysławia się zwykle te, drogą teoretyczną wyprowadzone prawidła, przytoczeniem stosownych doświadczeń. Wszystkie tego rodzaju doświadczenia, chcąc je w rzeczywistości wykonać, są nader niedołężne, lecz jeżeli się je zgrabnie i ze stosownemi przezornościami przeprowadza, natenczas dostatecznie uzmysławiają teoretyczne twierdzenia. Przy tych doświadczeniach szczególny wzgląd brać trzeba na tęgość materji tego ciała, na które siły zawieszamy, inaczej bowiem wyniknąć mogą nader niemiłe dla experymentującego sprzeczności teorji z rzeczywistością.

Nasz autor trzyma się w przeprowadzeniu wyjaśnień o sile wypadkowej pozornie li tylko drogi empirycznej i poczyna tę naukę następującem i w ten sposób wyrażonem doświadczeniem. O ile mu się to udało, przytoczone tu uwagi dostatecznie wykażą. Doświadczenie to brzmi:

„*§. 55. Połóżmy na poziomą powierzchnię stołu gładkiego walec, do którego osi a przytwierdzone są sznurki opatrzone na końcach haczykami do zawieszania na nich ciężarów (b b') i zawiesimy* (zdaje się: zawieśmy) *na obu końcach sznurka równe ciężary, n. p. po trzy funty, to spostrzeżemy, że walec z miejsca się nie ruszy.*“

Następujące uwagi do tego doświadczenia dodać muszę: 1) Że uczeń czwartej klasy o tej porze roku, gdy mu nauczyciel fizyki o wypadkowej sile prawi, jeszcze dokładnie nie wie, co właściwie wyrazem walec oznaczamy, a tem mniej co jego osią zowiemy, niepotrzebną więc jest o niewiadomych mu rzeczach prawić. 2) Oś walca jest linią, a linji przez bryłę pociągniętej nie można jedną literą dokładnie oznaczyć, jak to nasz autor czyni; jeżeli zaś zamierzał mówić o jednym tylko punkcie osi walca, natenczas wypadało to wyraźnie powiedzieć, dajmy na to tak: i przytwierdźmy do punktu *a* w osi walca leżącego sznury. 3) Nie rozumiem do czego autor najpierwej mówi o sznurkach z haczykami, więc przynajmniej o dwóch, a nareszcie każe na końcu sznurka ciężary powiesić, więc o jednym tylko jest mowa. 4) Ostatecznie dodałbym do tego całego doświadczenia tę przestrogę, by niedoświadczony a experymentów chciwy uczeń czwartej klasy w braku stosownych materjałów nie ulepił z papieru walca i nie przytwierdził w polecony sposób ciężarów (b b') do niego, mogłyby bowiem jego nogi dotkliwego doznać szwanku, którego smutne skutki tylko Tygodnik lekarski wyliczyć byłby w stanie.

Z wyż przytoczonego doświadczenia wyprowadza nasz autor wniosek następujący:

„*Doświadczenie to przekonuje nas, że: Dwie równe siły działające na ten sam punkt w kierunku wprost przeciwnym, znoszą się nawzajem lub są w równowadze.*“

Dopokąd tego wniosku nie przeczytałem, zdawało mi się, że autor myśli do końców osi walca przytwierdzić sznury i na nich zawieszać ciężary, a skutkiem tego figura dodana zdawała mi się być niestosowną. Dopiero po przeczytaniu tego wniosku i po bliższem przypatrzeniu się figurze dorozumiałem się, jak właściwie autor to doświadczenie czynić zaleca. Figura przedstawia na stole przecięcie walca, więc koło, nad którego obwodem stoi litera *a*, przez środek koła pociągnięta jest średnica, której obustronne przedłużenia przedstawiają sznury na stole zwieszone, a na ich końcach przedstawione są ciężary (b b'). Oto chce nasz autor to doświadczenie w ten sposób wykonać: Stawia na poziomej powierzchni walec osią do niej prostopadle, do jednego końca *a* tej osi (która tożsamo jest tylko linią idealną) a więc punktu środkowego jednej z podstaw walca, wyobraża sobie przytwierdzone sznury a na ich końcach ciężary (b b'). Po odgadnięciu tego hieroglifu przyszło mi na myśl łacińskie przysłowie: *incidit in Scyllam, qui vult vitare Charybdim.*

Chcąc bowiem uniknąć teoretycznego punktu przytacza doświadczenie, które jest niewykonalne, czyli, jeżeli się o doświadczeniu tak wyrazić wolno, tożsamo jest tylko teoretycznem. Nie rozumiem zupełnie, jak do jednego punktu przytwierdzać sznury, oraz do czego ten cały walec, jeżeli tylko o jedyny jego punkt chodzi? Pytam się, czy nie jest to całe doświadczenie tem samem, co teoretycznie lecz bez łudzenia się powiedzieć: wyobraźmy sobie, jakoby na jeden punkt teoretyczny działały dwie siły wprost przeciwnych kierunkach. Całe to przedstawienie bardzo się nie udało.

Lecz nie koniec na tem, nareszcie dodaje autor do wyż przytoczonego wniosku kompletną niedorzeczność, następującemi wyrażoną słowy; „*Twierdzenie to także da się odwrotnie wypowiedzieć; zatem: skoro ciało wystawione na działanie dwóch sił działających wprost przeciwnych kierunkach nie porusza się, wtedy siły muszą mieć jednakową dzielność czyli moc.*“

Najpierwej dodam, że to odwrotne twierdzenie różni się w rzeczy właściwej od powyższego wniosku; we wniosku bowiem jest mowa o punkcie, w tem zaś odwrotnem twierdzeniu o ciele, a punkt i ciało nie to samo, inaczej nie czynilibyśmy różnicy. Lecz całe to odwrotne twierdzenie z łatwością da się sprowadzić *ad absurdum*, gdyż zawiera w sobie nieprawdę, co z następującego wynika: Wyobrażam sobie kamień położony dość obszerną podstawą na powierzchnię ziemi, oraz mający kilkanaście cetnarów ciężaru, a na nim zawieszone dwie siły, któreby go wprost przeciwnych kierunkach poruszyć zdążały — jedna z tych sił dajmy na to, mierzyłaby tylko kilka, druga zaś kilkadziesiąt funtów, a kamień się mimo to nie ruszy. Czy z tego miałoby wynikać, że obie te siły jednakową dzielność czyli moc mają? Tego już wcale nie potrzeba komentować.

Lęcz jęszcze słów kilka o definicji siły wypadkowej, którą nasz autor postawił. Nim ją jednak przytoczę dodać muszę, że Ettingshausen, w zawodzie fizyki znakomitość europejska, oraz znany ze swej zwięzłości pisarz w tej wiadomości, poświęca w swej książce tytułowanej *Anfangsgründe der Physik*, a napisanej dla uczniów klasy zwanej niegdyś drugim rokiem filozofji, przeszło trzydzieści wierszy druku do objaśnienia znaczenia siły wypadkowej, a na koniec nie stawi jej definicji. Naszemu autorowi wystarcza jeden szczególny przykład, że zamiast jednej sześciofuntowej siły możemy z tym samym skutkiem użyć trzech, w tym samym kierunku działających, z których jedna mierzy trzy, druga dwa, trzecia zaś tylko jeden funt, by z niego wyprowadzić definicję siły wypadkowej, temi słowami wyrażona:

„Siłę taką, która to samo sprawia co dwie lub więcej sił razem jednocześnie działających, nazywamy siłą wypadkową, zaś siły te, które mają jednę siłę wypadkową, nazywamy siłami składowemi.“

Definicję wypadkowej temi słowami wyrażoną w tym tylko razie zastosować można, jeżeli dwie lub więcej sił w jednym i tym samym działają kierunku, w każdym zaś innym nie; a jednak stosuje ją nasz autor i do wszystkich innych. Tak n. p zaraz w następującym paragrafie wyprowadza autor z doświadczenia na tym samym walcu i w ten sam sposób wykonanego, wyjąwszy że przy tem używa dwóch sił różnej wielkości, uważając siłę wypadkową jako dostatecznie oznaczoną, następujący wniosek:

„Gdy na jakie ciało działają dwie siły nierówne w kierunkach wprost przeciwnych, wtedy nie zachodzi między niemi równowaga, lecz ich wypadkowa równą jest co do wielkości różnicy sił składowych, a kierunek jej zgadza się z kierunkiem siły większej.“

Porównując oba wnioski, które nasz autor z doświadczeń w ten sam sposób wykonanych wyprowadza, a któreśmy tu przytoczyli, dostrzeżemy, że z pierwszego wyprowadził prawidło dla punktu, z drugiego zaś dla ciała. Z tego nakoniec przecież wynika, że dla naszego autora punkt a ciało jest jedno i to samo. Że jednak niewszystko co się tyczy punktu do ciała się zastosować da i *vice versa*, czyli że punkt nie jest ciałem, niemniej że definicja naszego autora do tego wypadku, gdy dwie nierówne siły wprost przeciwnych działają kierunkach, nie da się zastósować, następujące wyjaśni doświadczenie. Wyobrażam sobie cytrynę ujętą między dwie deszczułki, na którąbyśmy dwie siły jednę o trzech drugą zaś o czterech funtach w prost przeciwnych kierunkach działające w ten sposób, by ją zgnieść zdążały, zawiesić mogli. Według wyż przytoczonego prawidła, obie te siły wydadzą wypadkowę wielkości jednego funta. Zawieśmy więc najpierwej tę wypadkową samę w kierunku siły większej, a cytryna pocznie się z pewną poruszać chyżością; później zaś zawieśmy obie te siły składowe w kierunkach przeciwnych, a nastąpi tożsamo taki sam ruch jak w pierwszym razie, lecz prócz tego rzęsisty strumień pokrzepiającego soku cytrynowego rozpłynie się po powierzchni stołu, na którym oba te doświadczenia wykonywalibyśmy. Z tego wynika, że niekonieczną jest rzeczą, by siła wypadkowa to samo sprawić miała co jej siły składowe, czyli że definicja wypadkowej przez naszego autora postawiona, w tym wypadku zastosować się nie da. (C. d. n.)

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— W Petersburgu wyszło w r. 1865 następujące curiosum cywilizacyjne: „Елементаръ для дзеци вейскихъ“; książka polska, grażdanką drukowana Możnaby ją nazwać igraszką, i przeminęłaby niezawodnie jak tyle innych dziwolągów gramatycznych bez najmniejszego wrażenia, gdyby nie było wiadomo, że ten elementarz jest właściwie jednym z owych rozlicznego rodzaju knutów, wyrabianych w moskiewskich kancelarjach na zupełne wygubienie polszczyzny. Teorja moskwicenia wysiliła się tu na ostateczny środek — chwała Bogu, że niepraktyczny. Wybieg ten moskwicyzmu jest jak wszystko, co jest złe, w końcu bardzo niedorzeczny.

Wydawcy „Елементаpа“ rozumowali zapewne tak, że skoro lud polski nie będzie umiał czytać innego abecadła, jak tylko grażdańskie, to będzie nie mając polskich książek zmuszony czytać po moskiewsku, a w skutek tego będzie się sam z siebie uczył po moskiewsku, albo pisarze polscy będą zmuszeni pisząc dla ludu przyjąć grażdankę. Naszem zdaniem jednakże przerachowała się w tem biurokracja moskiewska. Dzieci nieznające innego pisma prócz grażdanki, gdy nie znajdą książek swoim językiem grażdanką pisanych, nie będą nic czytać. Cel zmoskwicenia zatem jest celem zupełnego ociemnienia ludu. Jeżeliby zaś udało się rozpowszechnić pisanie po polsku grażdanką, w takim razie prędzej Moskale będą się uczyć po polsku niż Polacy po moskiewsku, bo literatura polska, choćby się w grażdankę ubrała, nie przestanie być wyższą od moskiewskiej. Pod względem pisowni i języka nawet traci polszczyzna „Елементаpа“ (pominąwszy to, że musiano dla nosowych, ścieśnionych głosek i na rż nowe znaki dodać grażdance) bardzo moskiewszczyzną. Weźmy pierwszy lepszy ustęp z tej książeczki. „Елементаръ“ pisze n. p.

Яки навозъ трeба въ поле вывозиць?

to brzmi: Jaki nawóz trzeba w połie wywozić?

Ле brzmi przecież po polsku łie nie le. Polskie ucho czuje różnicę między łi a l.

Albo: „пящисты“ brzmi piaszczisty zamiast piasczysty; nie przybywa pisze „Елементаръ“ przez „не прибыва“ (nie przibywa) i t. d.

„Елементаръ“ usiłuje zaprowadzić nietylko głoski obce polskiemu oku, ale i brzmienia rażące polskie ucho. Dla tego samego nie można mu rokować dobrowolnego przyjęcia u ludu — knutem zaś nie da się przekształcić narodowość, to powinni już nawet moskiewscy popi i biurokraci rozumieć, jeżeli mają jaką taką znajomość historji.

Koncert p. Zarzyckiego w teatrze polskim 30. kwietnia 1866. Z prawdziwą przyjemnością zapisujemy tu dzień koncertu znakomitego ziomka naszego, na który rozgłos europejski, poprzedzający pianistę, liczną zwąbił publiczność. P. Zarzycki wybrał sobie na pierwszy koncert utwory Henzelta i Liszta, należące do najpiękniejszych, w których gra jego z bardzo świetnej mogła się przedstawić strony. Podziwialiśmy niepospolitą siłę p. Z., mechanizm do nader wysokiego stopnia doprowadzony i czystość w wykonywaniu najzawilszych partyj trudnego koncertu Henzelta. Allegro pathetico wykonane było z zupełnem zrozumieniem, z pokonaniem trudności, jakie przychodziły w czystem oddaniu oktawowych pasażów i wyraźnem odznaczeniu śpiewu. Po spokojnem oddaniu Larghetta, a w końcu po niepospolitem odegraniu Allegra vivace, w którem pianista znakomitą swą siłę w całej okazałości rozwinął, huczne oklaski po kilkakroć posypały się od publiczności. Wykonanie Parafrazy Liszta nie pozostawiło nic do życzenia.

Gra pana Zarzyckiego należy do rodzaju tej, w której efekt najgłówniejszą rolę odgrywa. Siła w wysokim wyrobiona stopniu, szybkość nadzwyczajna, czystość i w najtrudniejszych rzutach zachowana — wszystkie te warunki do rozwinięcia zupełnego efektu posiada p. Z. w wysokim stopniu. Gra jego zadziwia, wprowadza w zdumienie — ale nie zachwyca. Nie możemy mu zresztą odmówić delikatności w cieniowaniu, wykończenia w najdrobniejszych pasażach pianissimo, radzibyśmy jednak usłyszeć go w utworach, w których siła uczucia indywidualnością wykonawcy spotęgowana podnosi słuchaczy, wprowadza w zachwyt. Nie podziw, nie zdumienie — ale wprowadzenie w zachwyt, podniesienie słuchacza winno być ostatecznem zadaniem pianisty.

Pieśni do słów Lenartowicza i Syrokomli pięknie odśpiewane przez p. Karolinę Morską, utworu koncertanta, milutkie, za mało jednak mają śpiewności. Uczucie w nich nie rozwinięte dostatecznie. Temat Pajęczyny ładny, na gruncie narodowym, ale za monotonny. Valse brillante op. 8. i Polonez z towarzyszeniem orkiestry utworu koncertanta wybornie przez tegoż odegrany, podobały się publiczności.

Przed rozpoczęciem koncertu odegrano komedyjkę Korzeniowskiego w 1 akcie pod t. Doktor medycyny. Wszyscy prawie bez wyjątku wywiązali się z swych ról bardzo dobrze. Pan Linkowski i p. Hubertowa znajdowali się w swoim żywiole. Pan Marszałek był wyborny, może tylko za młody? — o co jednak p. Wilkoszewskiego obwiniać nie możemy. Odpowiedniejsza o wiele byłaby ta rola dla p Nowakowskiego. P. Szymański grał naturalnie.

W następnym tygodniu ma być odegraną komedja J. Osieckiego pod n. „Zubożały szlachcic.“

H. M.

Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.